



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

## MARYA BARTUSÓWNA

(Wspomnienie).

Przed laty, pewnego wieczora, w wielkiej oświetlonej sali zbierała się publiczność lwowska. Miało być amatorskie przedstawienie na jakiś cel pamiątkowy. Podniesiono zasłonę i na scenę wyszła ośmioletnia dziewczynka, w białej sukience, z jasnymi włoskami, drżąca jak listek. Światło, szmer mnóstwa osób, zwrócone wszystkich oczy ku scenie, onieśmiały stojące nieruchomie dziecko; ale po chwili opanowała się i zaczęła mówić dzwicznym głosem coś w rodzaju fantazyi prozą, zastosowanej do okoliczności: „Północ wybiła, i marzenia opanowały mą duszę...”

Ale naraz, odwaga ją opuszcza; przestaje mówić, szukając naprózno w pamięci wątka swej deklamacyi. Goście, chcąc jej dodać śmiałości, zaczynają bić bravo,—lecz to nie pomaga; przestraszone jeszcze więcej, dziecko zaczyna płakać. Bravo coraz silniejsze: dziewczynka biegnie do stojącego opodal fortepianu, zakrywa rękami oczy, jasną główkę opiera o fortepian i głośno płacze. Jej rzewnym łzom towarzyszy huczne bravo... Oto jedna chwila z lat dziecinnych zmarłej przed kilku dniami we Lwowie poetki Maryi Bartusówny. Zdarzenie to było niejako wróżką na przyszłe jej życie; ma-



MARYA BARTUSÓWNA.

zenia opanowały jej duszę — została poetką, ale marzenia te przerywane są łzami cierpienia, łzom wyspiewanym w poezyi towarzyszy poklask, który nieraz więcej drażni, niż nagradza. Zdarzają się dusze, w które, jak w kielich ofiarny, zagląda się z pewnem drżeniem i z szacunkiem połączonym z obawą, aby zbyt powierzchownym wzrokiem nie dotknąć cierpienia i tych tajemnic cichych a pięknych, których za życia świat uznać nie umie lub nie chce.

Taką duszę rzeczywiście idealną, surową prawie w zasadach swoich a pełną nazewnątrz wdzięku, miała właśnie Marya Bartusówna. Poza ujmującą pogodą jej charakteru, poza dziecięcą prawie wesołością, najbliżsi tylko dopatrzeć mogli, ile tam w sercu głębinach było bolesnych wspomnień, ile prób przeżytych z godną podziwienia odwagą, ile takich godzin w życiu, które inną duszę zachmurzyłyby może nazawsze. Lecz skoro tylko choć trochę jaśniejszy błysnął promień słońca, choć trochę ubyło ciężaru gniotącego skrzydła młodości, umiała własne swe nieustanne troski w tak lekką, wesołą, dowcipną ującą formę opowiadania, że ta jej „Odysseja“ — jak się sama wyrażała, stawała się dla słuchających zajmującą nad wyraz opowieścią. A przytem głos dzwiczny, jakby umyślnie dany instrument muzyczny, serdeczność w obejściu się i miłą powierzchowność, czyniły ją zajmującym i pożądanym gościem w inteligentnych kołach lwowskich, w czasie częstych pobytów jej w stolicy Galicyi. I patrząc na nią, tak ożywioną

i swobodną w towarzystwie, trudno było nieraz zrozumieć, że to tasama istota pisała o sobie:

„Żadne mnie cacko na świata targu  
Nie łndzi,  
Żadne marzenie duszy z letargu  
Nie budzi.  
A gdy na sercu położę rękę—  
Nie bije:  
Lecz czuję życia boleść i mękę—  
Więc żyje!”

Było-to jednak zupełną prawdą. Marya Bartusówna jako poetka, jest tak znaną i cenioną ogólnie, że zastanowimy się tu nad inną stroną jej krótkiego życia, mniej znaną a pełną zasługi, to jest nad przebiegiem jej pracy jako nauczycielki ludowej.

Młodziutka, a sama jedna, bo dla materialnych stosunków w rodzinie zostać nie mogła, bez opieki prawie, bez pomocy, ze swym idealnym na świat poglądem, z myślą tylko bogatą w silną wiarę i natchnienie, stanęła naprzeciw swego zawodu literacko-poetycznego. Wkrótce jednak okazało się, że poezja i talent jej nie wydołają codziennym potrzebom (mówiąc nawiasowo—w braku poparcia), tembardziej, że spotkała na swej drodze niejedne przeszkody, mające swe źródło w rozmaitości ludzkich charakterów. Nie mogąc i nie chcąc nawet walczyć z tego rodzaju przeciwnościami, postanowiła obrać zawód nauczycielski. Skończywszy wydział freblowski w seminarium nauczycielskiem żeńskim we Lwowie, z patentem w rękę podała się o posadę. I dostała ją. Ale jaką! Powierzono naszej poetce kierunek ochronki miejskiej z zastosowaniem metody freblowskiej, którą wówczas zaprowadzano w tego rodzaju instytucjach. Malowniczy, doprawdy, w swoim rodzaju przedstawiał widok ów poranek, w którym Marya obejmowała swoje miejsce w ochronce. Poetka, mając w myśli szczytne zadanie nauczycielki klas najniższych społeczeństwa, owiana jeszcze mgłą niedoświadczenia, nieobznajomiona z trybem ochronki, staje na progu szkolnej niby sali—i oto co widzi. Tam, od połowy tej biednej izby, wznosi się ku sufitowi amfiteatr schodów drewnianych, a na tych schodach, siedzi, leży, śpi, krzyczy, beczy, bije się i co chwila stacza na dół *sto przeszło* obszarpanych dzieciaków, w łachmanach, nieumytych, nieujętych, nieumiejących jednego słowa wyraźnie powiedzieć; a cała ta zbita massa zebranej z całego przedmieścia małaletniej nędzy, wydaje jeden krzyk, na który próżno zrazu wyszukać zaklęcia, aby go uciszyć. Na tem nie koniec. Drzwi się otwierają, wbiega szybko biedna wyrobница spiesząca do pracy i jakieś zawiniątko kładzie na ziemi: to jej zaledwie dwuletnie dziecko! Za nią druga, trzecia, dziesiąta. Zawiniątko te zaczynają się na ziemi poruszać, kręcić, szamotać, z każdego wychyla się jasna lub czarna główka i niemowlęta, obracając oczy ku stojącej na progu poetce — naraz chórem w płacz. A poetka, która na to wszystko ma wystarczyć swą ręką i siłami, porównywa w tej chwili sążniste i szumny plan ochronki: nowa metoda czytania nauka pogładowa, okazy, zabawki rozwijające umysł, powiastki rozwijające serce, klocki, patyczki, piłeczki, kostki kolorowe, rozwijające uczucie estetyczne, i wszystko o czem sama wie, że w początkowej szkole być powinno—porównywa wszystko to z rzeczywistością, która płacze przed nią i hałasuje. Porównanie kończy się na tem, że we wszelkim braku piastunek i dozorczyń, które w takim miejscu do pomocy być powinny, nauczycielka sama bierze się do tego, czego w planie urzędowym nie było: podnosi owe zawiniątko z ziemi, oswabadza i uspakaja biedactwa zawodzące za matkami, poprawia im ubranie, przyczesuje, oswaja tę małą hordę, uczy ją siedzieć choć chwilę cicho, najprostsze wymawiać odpowiedzi i wstrzymywać się od płaczu i wrzasku.

Maryja Bartusówna miała szczęście do dzieci: szybko potrafiła je ułożyć do swej woli, one przepadały za „swoją panią“ a jak zobaczymy dalej, starsze umiały nawet w poetyczny sposób być wdzięcznymi. Po paru miesiącach ochronki poznać nie było można. Zgraja małych krzykaczy,

śluchała z nateżoną uwagą, jak poetka dzwicznym swym głosem opowiadała im o „Krakusie“, „Wandzie“, o „Trzech motylkach“ lub o „Ptaszku w gniazdeczku.“ a po części były to pełne wdzięku improwizacye zastosowywane do pojęcia istot dochodzących najwyżej lat siedmiu. Gdy się starsze uczyły i słuchały, młodsze się bawiły; gdy starsze się bawiły, młodsze uczyły się wyraźnie wymawiać, przeżegnać, zmówić pacierz, zwracać uwagę na głos nauczycielki. Pod koniec roku na egzaminie trudna i mozolna praca Maryi Bartusówny doczekała się uznania i pochwały. Ale czyż to dla niej było tego rodzaju zajęcie, zabierające cały dzień, jak jest długi, drogiecenne dla niej czasu! Po umęczeniu się z dziećmi przez tyle godzin niewiele ich już w nocy poświęcić mogła kształceniu się własnemu i literaturze. Postać poetki na tle tej ochronki, tego schroniska biedy, materialnej i moralnej, przesunęła się jak coś jasnego, dobroczynnego, jak promień z wyższej sfery wpuszczony w ciemny obręb społeczeństwa. I podziwiać trzeba było wytrwałość i usilność, z jaką dzień cały pracowała nad tą gromadą brudnych i źle wychowanych dzieci, aby z ich uspiionych duszyczek wydobyć tę iskrę jasną, jaka w każdym człowieku, tłumiona tylko silniejszymi lub słabszymi wpływami zewnętrznymi, teje. Położenie to jednak było zbyt męczące dla wątłego zdrowia, a zamało dające pozytywnej korzyści. Maryja Bartusówna opuścić musiała ochronkę. Nastąpiło lat parę podróży, kilka chwil jaśniejszych, do których liczył się krótki pobyt w Warszawie i w Krakowie. W tym czasie przygotowywała się do egzaminu ludowego i zdała go we Lwowie w Kommissyi Examinacyjnej. Miała teraz prawo na mocy swego nowego patentu żądać wyższej posady. Dostała ją w Sokolnikach pod Lwowem. Tu w całej pełni rozwija się jej umiejętna działalność nauczycielska, a czas ten jest może najjaśniejszą epoką jej życia. Będąc tak blisko miasta, mogła korzystać z towarzystwa znajomych i przyjaciół we Lwowie, a wychowana w przeslicznej okolicy w Kołomyjskiem, wśród gór i lasów, Kochając nad wszystko naturę i lud, w zbliżeniu tem sympatycznym, jakie ma nauczycielka ludowa z dziećmi wiejskimi i przyrodą, znajdowała nietylko zadowolenie swych upodobań, ale i sposobność do głębszych nad ludem studyów. To też ten wpływ sielski, pełen prostoty i wdzięku odbił się później bardzo korzystnie w jej utworach. Materyał też, jaki w szkole miała przed sobą, był wielce odmiennym od owego tłumu dzieci miejskich, które, wychowując się w części na ulicy, wśród wrzawy, kurzu i śmieci, mają inteligencye niejako zasypane pyłem jakiegoś ogłuszenia i roztargnienia zarazem. Tutaj, w pięknym, czystym budynku sokolnickiej szkoły, gdy stanęła na progu klasy, przedstawił jej się obraz, jaki może nieraz widziała w swych marzeniach. Był to także liczny zastęp napełniający ściśle salę, ale były to same jasnowłose główki wiejskich dzieci, wesołych, uśmiechniętych, otwierających ciekawie błękitne swe oczęta na nową mistrzynią. Były to dzieci także poczęści bose i biedne, ale czyste, proste, spokojne, jaśniejące tą skromną schludnością, w jaką przyodziewa się kłos na polu i najlichszy kwiatek leśny. Jednym z tych dzieci, według opowiadań poetki,—był przesliczny, złotowłosy, o rozmarzonym spojrzeniu chłopczyzna, pojętny, pilny, ale tak smętny i często zadumany a sam nie wiedzący o czem duma, że go trudno bywało rozweselić. Posłużył on zapewne za pierwowzór owego pacholecia z „Czarodziejskiej Fajarki.“<sup>1)</sup>

(Dokończenie nastąpi)

## POGA WĘDKA.

Poruszana przez nas kilkakrotnie kwestya upadku czytelnictwa i oplakanych skutków, jakie

<sup>1)</sup> Drukowana w r. 1884 w *Gazecie Polskiej* w Czerniowcach, jako dodatek i odbitka.

to za sobą pociągnąć musi, wzięta została pod rozprawy przez znaczną część naszej prassy.

Odpowiedzią na pytanie: dlaczego się tak dzieje, jest ogólny zastój, coraz większe potrzeby; a że u nas, niestety, wszystko inne ma pierwszeństwo przed umysłowością, że oszczędności zwykło się zaprowadzać od umniejszenia obroku duchowego: więc książka przedewszystkiem została wykreślona z bardziej obciążonych budżetów.

Cóż to za smutna ekonomia!... Prędeż, czy później skutki jej źle się dać muszą uczuć; wówczas dla powetowania strat dziesięćkrotnie będzie trzeba powiększyć koszta istarania w celu przywrócenia dawnego stanu.

Z ruchem umysłowym, to jak z piecem hutniczym: podtrzymywać w nim można ogień lada czem i zwiększać nawet temperaturę, ale gdy mu się raz wygasnąć pozwoli, i czasu i trudów, i paliwa potrzeba bardzo dużo, aby znowu rozgorzał, a ile razy zły wiatr żarzewie zgasi i wszelkie usiłowania udaremni!...

Nieopatrznie pozwalamy wygasać temu ognisku, które przez lata całe rozniecaliśmy; miało ono ogrzewać i oświecać współczesne pokolenia, a tu zamiast iskier—popiół tylko.

Zwracaliśmy kiedyś uwagę na to, ile zasługi zdobyć-by sobie mogły kobiety, przez większą troskliwość, większe zajęcie się sprawami piśmiennictwa, w swoim własnym interesie.

Dobra i pożyteczna tradycya czytania upada wśród płci pięknej, książka przestaje być miłą rozrywką, o naukę i poważniejsze kształcenie umysłu mało kto poważnie dba. Belletrystyka, i to obca, dochowała sobie jeszcze najwięcej zwolenniczek, ale jakież z niej naprawdę pożytek?... Znieczulenie wrażliwości, zepsucie smaku, rozdrażnienie nerwów i czezość, którą się najczęściej uczuwa po tych pieprzo-tłustych wyrobach kuchni literackiej we Francyi.

Ruch wydawniczy jest w zastoj; o nakładce na zbiorek poezyi, czy na dzieło naukowe równie dziś trudno.

— Po co?... dla kogo?—pyta każdy, wskazując pełne półki nakładów, w których utopiono kapitały niewycofane i nieprocentujące.

Nie można twierdzić, ażeby ta stagnacya na rynku wydawniczym była jakimś jednostronnym dajem: we wszystkich kierunkach uczuwać się daje skutek fatalnej chwili ekonomicznego przesilenia; to tylko zastanawia i smuci, że w granicach potrzeb i obowiązków umysłowych najwcześniejszej i najsilniej objawiła się reakcya.

Nie byłoby nic złego, gdyby nas niepomysłne warunki dzisiejszej doby zmusiły do pewnego ograniczenia się w zbytkach, do pewnych rozsądnych oszczędności, do wyrzeczenia się potrzeb nadzwyczajnych i zachcianek marnotrawnych; z radością i zadowoleniem powitaliśmy zapowiedź rozmaitych reform w stroju, wystawnych przyjęciach, kosztownych zabawach i rozrywkach. Jakkolwiek była to cnota z konieczności, cieszyliśmy się nią i zapisywali w rubrykę dodatnią społecznego bilansu; tymczasem zwrot był chwilowy, perkaliki i wełniane sukienki dały tylko pretext do dziwactw kosztownych.

Wszakże i teraz, pomimo skarg na ciężkie i dokuczliwe pod wielu względami czasy, gdy się rozeszła wieść o zamierzonym przyjeździe Adeliny Patti do Warszawy, słyszeliśmy dopytujących się już o bilety na występy uroczej *divy*, jakkolwiek cena ich miała być coś dziesięćkrotnie podwyższoną. Primadonna, a właściwie jej impresario zastrzegł sobie, że dochód z jednego wieczoru wynosić musi okrągłych 6.000 rs., bo Patti taniej śpiewać nie może.

Prassa nasza jednogłośnie wyraziła swoje zdanie, przemawiając do rozumu poważniejszej publiczności, iż w naszych warunkach taki haracz złożony sztuce jest za kosztownym; nie wieleby to wszelako pomogło na wypadek, gdyby Patti, niezrażona głosem krytyki dziennikarskiej, przyjechała postanowiła na prawdę do Warszawy. Ci wszyscy, co się oburzają na tak wygórowane wymagania słynnej śpiewaczki, w ostatniej chwili przepłaciliby bilety i poszli do teatru.

Wizyta znakomitej primadonny dałaby się we znaki naszej stałej scenie; publiczność warszaw-

ska bowiem rozrzutność swą dla obcych lubi zwykle pokrywać oszczędnościami na swoich.

Dyrekcya i reżysserya naszego teatru zakreśliły sobie bardzo urozmaicony plan działania na sezon zimowy; repertoar ułożono za obficie, mnóstwo nowych i wznowić się mających, oryginalnych i tłumaczonych sztuk przeznaczono do wystawienia, z których połowa wystarczyłaby do schudnięcia najtłustszego reżyssera i zmęczenia najgorliwszych w pracy artystów.

Nic to nie szkodzi wszelako, że tych dobrych chęci ujawnia się aż tyle; niechaj dwie trzecie z nich pójdzie na wybrukowanie piekła, byle jedna trzecia owoce przyniosła i nie poszła na marne, to i tak scena i sztuka odniosą pożytek.

Pomiędzy zapowiedzianymi reformami znaleźliśmy obietnicę podniesienia i uszlachetnienia dzisiejszego repertoaru przez większy dobór i staranność w wystawianiu dramatów i wogóle utworów poważniejszego charakteru.

Byłby już czas pomyśleć o tem szczerze i wyjść z tej pospolitości stylu i ciasnoty rodzajów, w jakich sztuka dramatyczna na naszej scenie od dość dawnego czasu ugrzęzła. Ryzykowny to, co prawda, zamiar ze strony reżysseryi zwracać się nagle w przeciwnym kierunku po odzwyczajeniu publiczności od szlachetniejszego nastroju i podnioslejszych wrażeń...

Ta publiczność dzisiejsza umie się już tylko śmiać w teatrze, albo podrażniać nerwowo, i głównie śmiechu lub podrażnienia nerwów szuka w świątyni Melpomeny; na dramat idzie z uprzedzeniem, niechętnie, przygotowana na nudy i ziewanie, a Shakespeare'a się boi na scenie, i ma najczęściej słuszną, że nie chce patrzeć na parady genialnych arcydzieł wielkiego tragika.

Po meiningeńskiej wystawie zwłaszcza trzeba być już i u nas ostrożniejszym w wprowadzaniu na scenę utworów wielkiego stylu i nie można lekceważyć obowiązków, zarówno względem sztuki, jak i względem publiczności.

Otóż dobre chęci dyrekcji i reżysseryi dążą i do reformy wystawy, obsady, gry, do wytworzenia możliwie doskonałej całości, bez oglądania się tylko na same pierwszorzędną gwiazdy.

Scena ma nabrać jakiegoś republikańskiego charakteru w tem współdziałaniu i w tej solidarności wszystkich sił, dążących do jednego celu.

Sliczne to zamiary i przyklasnąć się im godzi *a conto*, chociaż wolelibyśmy oklaskiwać spełnioną, niż zapowiedzianą zasługę.

Taki oklask zjednało sobie Towarzystwo Muzyczne, dzięki bardzo taktownemu pokierowaniu obrad na walnym zgromadzeniu członków przez przewodniczącego, p. Edwarda Lea, za to, że nie pozwoliło wybuchnąć wszystkim materyałom palnym, jakie nagromadzili zwolennicy i przeciwnicy p. Zygmunta Noskowskiego, dotychczasowego dyrektora tegoż towarzystwa.

W imię zgody i jedności usunięto z dyskusji wszelką prywatę i nie dopuszczono do publicznego roztrząsania powodów, które zniewoliły, słusznie czy niesłusznie, komitet do udzielenia dyrektorowi dymissyi. Walne zebranie zadecydowało, że ten chwilowy rozdzźwięk uważa za niebyły i w nowym zgodnym nastroju poleciło komitetowi wspólnie z p. Noskowskim pracować nadal w administracyjnym i artystycznym zakresie.

Burza została zażegnana, ale czy na długo?...

Dziwna rzecz, że nasz świat muzyczny tak małą harmonią się odznacza i tak mu trudno rozmaite rozproszone tony związać i utrzymać w jednym zgodnym akkordzie.

Ach, ale ta trudność dokuczała nam najczęściej nietylko w sferze muzyki!...

Wspominaliśmy na wstępie o zobojetnieniu dla słowa drukowanego; zobaczmy wkrótce, czy i żywe słowo straciło swój urok przyciągający. Niebawem rozpocząć się ma serya dwunastu odczytów na korzyść Osad Rolnych; dawniej należały te popularne kursa do rzędu najulubieńszych umysłowych... rozrywek Warszawy, tłoczono się do sali ratuszowej, co prawda, często więcej w chęci obaczenia, niż usłyszenia prelegenta.

W ostatnich latach i ta ciekawość jakoś się zmniejszyła, a traci na tem, nietylko publiczność,

mająca tak rzadko sposobność słuchania publicznie żywego słowa poza sceną i amboną, ale i Towarzystwo Osad Rolnych, instytucya zasługująca ze wszech miar na uznanie i poparcie ogółu, instytucya pod względem urzędzenia i rezultatów swej pracy policzona dziś do wzorowych w Europie.

Publiczność nasza dała się uwieść szumnym pogłoskom o korzyściach ze spadku s. p. Kajet. Kického, który raczej ciężarem, niż ulżeniem okazał się dla Towarzystwa Osad Rolnych, bo włożył na nie mnóstwo pięknych honorowych i obywatelskich obowiązków wykonywania *pro publico bono* ostatniej woli szlachetnego utopisty, a w zamian dopiero w bardzo odległej jeszcze i zamglonej przyszłości przeznaczył pewne korzyści dla instytucji, która tymczasem żyć musi tylko z ofiarności ogółu. Obecnie znów reporterya nasza rozpuściła wiadomość o powiększeniu się spuścizny po s. p. Kickim dożywociem wdowy jego, przed kilku tygodniami zmarłej, ale reporterya nie do dała tego szczegółu, iż cały ten przyrost w niczem nie poprawił interesów materyalnych instytucji zmuszonej w domu niby własnym przy ulicy Królewskiej... opłacać administracyjnemu testatorowi komorne za lokal zajmowany na biura zarządu Osad Rolnych.

Potrzeba tedy oddzielić studzienicką instytucyą od sprawy spadkowej, którą zajmuje się na własną rękę osobny komitet, trzymając się ściśle zobowiązań testamentu.

Co prawda, bardzoby właściwym było, aby komitet ten powiadamiał obszerniej publiczność o stanie powierzonej jego pieczy spuścizny i w ten sposób usprawiedliwiał odwoływania się instytucji Osad Rolnych o pomoc do ogółu. Niechaj się opinia publiczna nie łudzi, co do majątkowego stanu Studzienica, i niechaj ogół obywatelski nie uważa się zwolnionym od obowiązku popierania i wspomagania instytucji, której byt i działalność zależne są tylko od jego dobrej woli i ofiarności.

Do tej dobrej woli uciekają się wszyscy po kolei, między innymi i pan mecenas Jan Maurycy Kamiński wystosował w sprawie warszawskiego Żwierzyńca odezwę do publiczności naszej, żądając od niej całkiem słusznie, aby gorliwiej popierała Ogród Zoologiczny, powstały z prywatnej inicjatywy i prywatnymi funduszami dla pożytku ogółu.

Energiczny zarząd nie traktuje tego przedsięwzięcia opieszale, a dbając o fundacyą, godną stołecznego miasta, stara się i o zapewnienie możliwego zysku dla akcyonaryuszów; rozumie to dobrze, iż tylko nakłady, tylko urozmaicenie tej żywej wystawy dzikich zwierząt, może Ogradowi zapewnić większy udział publiczności, a zatem i znaczniejsze dochody.

W celach pedagogicznych dla młodego pokolenia Żwierzyńiec warszawski mógłby bardzo dobre oddawać przysługi, wykształcający ojciec lub nauczyciel, gorliwa matka lub wychowawczyni, mają tu wyborną sposobność dawania poglądowych lekcji z zoologii, rozwijania młodego umysłu i spostrzegawczości swego dziecka lub pupilla, uczenia rozrywką według metody freblowskiej.

Trzeba tylko chcieć, a dwóm celom w bardzo łatwy sposób można jednocześnie usłużyć: pedagogii i Żwierzyńcowi.

Mamy my wprawdzie inny Żwierzyńiec, który nas nierównie drożej kosztuje od Ogrodu Zoologicznego, a tym jest żwierzyńiec społeczny, w którym takie lisy i wilki, jak przekonany szuler Kusociński albo b. dyrektor filii Banku polskiego w Włocławku, Krzeczkowski wyrządzają nam wielkie moralne i materyalne krzywdy.

Pierwszy, nazwany „professorem pikiety“, ogrywał długo ludzi bezkarnie i oskubywał ptaszki łowione w samotrzask, aż nareszcie złowiono i ptasznika, przeznaczywszy mu w głębokiej Syberyi miejsce do lepszego studyowania *wolty* i sztuczek karcianych; drugi, okradłszy poprostu kasę, z godnym siebie współnikiem ulotnił się bez śladu.

Nieposzlakowanej dotychczas opinii instytucya, która skutkiem reorganizacji działalność swą pod dawniejszą firmą, kończy z początkiem przyszłego roku, zamieniona na filią banku państwa,

doczekała się naostatku takiej sromoty ze strony jednego ze swoich przedstawicieli!...

Teraz dopiero zwróciło to uwagę ludzi, że Krzeczkowski żył nad stan, marnował pieniądze, pozwał sobie za wiele i niewiadomo zkad czerpał fundusze na swoje i swojej żony rozrzutność, bo żona i przyjaciel pomagali mu do trwonienia depozytów bankowych.

\* \* \*

Nekrologia ostatnich dni zapisała kilka nazwisk głośniejszych lub zasłużonych na swojej tablicy. We Lwowie zmarła Marya Bartusówna, młoda poetka i nauczycielka, która niegdyś talentem swoim lirycznym rokowała piękne nadzieje; praca na chleb nadwątlila organizm i wyczerpała przedwcześnie młode siły.

Na trumnie położono jej kilka laurowych wienców, ale za życia nikt zapewne nie spytał nawet: czy ma kawałek chleba!...

W Poznaniu, wycieńczony pracą, umarł kustosz Towarzystwa Przyjaciół Nauk, znany literat i historyk, autor „Sum neapolitańskich“, „Ojca Stanisława Augusta“, „Dwóch Krzemieńczan“ i wielu innych zajmujących studyów, s. p. Klemens Kantecki; zmarł jeszcze w kwiecie wieku.

W wiejskiem zaciszu zaniknął oczy rolnik-humorysta, ex-bocian, Faustyn Świdorski, który przed laty w „Wolnych żartach“ pisywał satyryczne, w gładkiej formie ucinki, i poczciwym śmiechem karcil błędy i wady naszej szlachty wiejskiej.

Mógł powiedzieć o sobie, że „gryzł sercem“, a talentu swego nie używał nigdy na szykanę, na osobiste niechęci.—śmiał się i kochał.

Pozostawił w literaturze dobre imię i pamięć uczciwego człowieka; talent w spadku dostał się synowi nieboszczyka, Leopoldowi Świdorskiemu, który wyróżnił się już z szeregu komedyopisarzów.

We Florencji wreszcie artysta-malarz, ilustrator „Paska“, utworów Mickiewicza i innych, Antoni Zaleski zakończył życie. Sędziwy artysta umiał niegdyś odtwarzać z rzadkim talentem wymarłe typy polskiej szlachty, z werwą, fantazyą i charakterystyką, które dzisiejsze pokolenie kopiować zaledwie z dawnych wzorów sztuki potrafi.

Na wszystkich tych mogiłach składamy garść wawrzynowych liści ze smutnymi słowami: „Odpoczynek im wieczny!...“

## FRYC I FRYCEK

NOWELLA

Michała Wołowskiego.

(Dalszy ciąg).

— A więc cóż ja ci pomódz mogę, gdy ty i ja, stojący naprzeciwko siebie, umiemy się tylko dziś nienawidzieć?

— A widzisz: ty umiesz kochać za nic i umiesz nienawidzieć za wielkie krzywdy, a nie pojmujesz tego, że nawet dla ludzi przejętych ku sobie nienawiścią wielką, a nie tą pospolitą, jest droga wyjścia, jest punkt styczny, gdzie się zejść mogą.—tym punktem jest wzajemny szacunek. Możesz mnie nienawidzieć jako Niemca, ale szanować jako człowieka.

— Zmusz—była lakoniczna odpowiedź.

— Słuchaj; slyszalem co to dziewczę biedne mówiło o mnie. W moim młodym mózgu paliło się wszystko. Ja wiem, że między młodem duszami nierzadko powtarza się historia Fausta i Gretchen. Ja nie używam tutaj słów pustych chwalebny: mówię, bo czuję, że mi to w sercu siedzi, ja wiem, że gdybym się do niej zbliżył, ona byłaby mnie pokochała.

— Kłamstwo! — zawołał doktor, zrywając się z miejsca.

— Nie znasz natury ludzkiej, jeżeli możesz mi

przeczyć. Tak, ja ją już kocham, ona... ty wiesz sam lepiej ode mnie.

Doktor nie umiał kłamać, głowę spuścił ku ziemi i słuchał dalej.

— Powiedziałeś żeśmy wszyscy podli, zimni egoiści.— a patrz: ja nie zbliżyłem się do niej dla tego, bom szanował jej spokój, bom widział, jak tuliła się dotwojej piersi, myśląc o swojej biednej Francji. Ach! ja wtedy wierzyłem także, że ojciec mój pracę pojmuję tak, jak ja ją pojmuję; oni skazani na zatracenie, oni zmarnieją—na ich miejsce staną młode Niemcy z młodeymi sercami i te stare ich bogi runą. Patrz: oto ja pierwszy przychodzę do ciebie; ten stary świat możeby mnie potępił za to, że zdradzam ojca, a jednak jestem tutaj, aby ci z całych piersi zawołać: Strzeż ich, oni nad przepaścią!

Tutaj młody Müller, mówiąc, już dyszał prawie, co chwila tchu mu brakowało. kolana się ugiwały pod nim; gdy skończył swoją opowieść, runął i upadł u stóp doktora nieprzytomny.

Doktor, jakkolwiek był zawsze człowiekiem krwi zimnej, w tej chwili prawie że przytomność stracił.

Opowiadana historia przez Frycka o zamiarach starego Müllera względem barona, przytem, wszystko to, co z ust jego usłyszał, nagła jakaś choroba, a wreszcie i nagłe zjawienie się Stelli, która ścieżynką przez ogród biegła do swojego nauczyciela życia, — wszystko to razem wzięte, złożyło się na sytuację, z której doktor wyjścia nie widział.

Schylił się, aby podnieść z ziemi młodzieńca, gdy Stella już była przy nim.

Woda i wszystkie środki domowe, jakie pod ręką miał doktor, nie zdołały do przytomności go przyprowadzić.

Była chwila, że musiał go nawet samnasam ze Stellą zostawić; pobiegł po ludzi i środki.

Te minut parę dla tej rozmarzonej jasnowłosej dziewczeczki epoką stały się w życiu.

Na ziemi leżał rozciągnięty młodzieniec, blade jak chusta z zamkniętymi oczyma, ona przykłębia przy jego głowie, ręką podniosła ją ku górze, i... patrzyła.

Kędziory jego czarnych włosów pod wpływem fal wiatru muskały jej dłonie.

Coraz niżej schylała swą główkę ku jego czołu; nie wiedziała sama, jak się to dzieje nawet, aż naraz karminowe usteczka oparły się o tę alabastrową przestrzeń, którą anatomia zwie czołem.

On oczy otworzył i zamknął je natychmiast, a w tej chwili odezwał się poza niemi głos surowy a poważny:

— Stello! „pocałowanie jest ślubem dla czystych dziewczec” — powiedział jeden z naszych wielkich poetów, a powiedział prawdę.

Stella drgnęła, zerwała się szybko z ziemi, rączkami zakryła krwią nabiegłe policzki swoje i odparła:

— Twój poeta wielki, doktorze, powiedział dobrze—i smutna, inna już zupełnie niż przed tem, wolnym miarowym krokiem podążyła w stronę pałacu.

Frycka odniesiono do domu; pozostawał on ciągle w tem usposobieniu człowieka pozbawionego przytomności, majaczył, na ustach jego błędziły ciągle imiona Stelli, doktora, barona, ojca i wielkie hasła wieku i cywilizacji, ale związku systematycznego i logicznego, nikt się w tem wszystkim dopatrzeć nie mógł.

Doktor od rana do wieczora przesiadywał przy jego łóżku, Stella nie dopytywała go o chorego, ale jej codziennie doktor relacją sam przynosił. Silne zapalenie mózgu nie tak łatwo przechodzi.

Stella była bardzo smutną; gryzła to więcej doktora, niż gdyby sam największe zmartwienie przechodził; raz nawet zaczął coś opuszczać ze swojej teorii nienawiści, dla tego, żeby pocieszyć biedne dziecko; ale ona wtedy mu odparła:

— Daj pokój; mówiłeś prawdę wtedy,—nie kłam teraz.

— Ja i wtedy i teraz mówię prawdę. Nienawiść i miłość: to dwa uczucia, które się wzajemnie równoważyć muszą — jeśli przeważa ostatnia, zmienia naturę człowieka. U nas, u nas, ja-

każ wielka ilość tych, których miłość przerobiła na najlepszych obywateli!

Ale Stella tego rozumowania słuchać nie chciała, kiwała główką jak wprzódy przecząco i milczała zawzięcie. Doktorowi coraz toleśniej było z tym jej smutkiem na świecie i z temi chmurami, które gromadziły się nad Francją.

— Do Berlina, do Berlina! — zagrzmiało nareszcie i na starej alzackiej ziemi.

Wojska poczęły się zewsząd gromadzić, bo od północy także nadchodziły wieści, że książę Fryderyk Wilhelm, następca tronu pruskiego dąży z armią przeciwko Francuzom, że książę Fryderyk Karol prowadzi armią drugą, że hrabia Moltke i setki generałów pruskich z wyćwiczonem wojskiem stoją już tuż, tuż na granicy.

Pierwsze strzały w Mülhausen usłyszano zpod Saarbrück, gdzie cesarz Napoleon odegrał dosyć niezręczne komedią swojej własnej odwagi i zimnej krwi swojego syna.

Z chwilą pierwszych strzałów zniknął z Mülhausen także i stary Müller; zabrał żonę, chciał zabrać i Frycka, ale Frycek nadto był słabym, aby drogę mógł przenieść.

Fryc długo medytował komuby opiekę nad dziecięciem powierzyć; wpadł nareszcie na pomysł. Zjawił się u doktora z mocno dyplomatyczną miną i zawołał:

— Jadę.

Doktor milczał.

— Jadę—powtórzył poraz wtóry stary Müller—nie mam dziecka przy kim zostawić: pamiętaj pan o nim; teraz są takie czasy, kto to wie, być może, że i ty przestaniesz nas nienawidzić. Pilnuj mojego Frycka, a ja o tobie nie zapomnę.

— Ach pocóż mi to mówisz? Wszakże jestem lekarzem, a skoro twój syn jest chory, więc opieki mojej potrzebuje, ja zaś na nagrodę nie liczę. Idź spokojny: ja strzedz go tutaj będę; zastaniesz go całym, gdy powrócisz.

Stary Müller był filozofem, zresztą znał prawa międzynarodowe, wiedział, że Francuzi je szanować umiują, więc na pozostawienie chorego się zdecydował.

Ciągnęło go tam serce do łóżka syna, ale z drugiej strony był to umysł arcy-trzeźwy; Niemiec, o skórę swoje zbyt spokojnym nie był i dlatego śpieszył się Mülhausen opuścić.

Chory Frycek został się zupełnie na łasce doktora, który, przewidując niebezpieczeństwo, jakie groziło mieszkańcom Alzacji, gromadził szarpie, bandażę, jednym słowem: jako sługa ludzkości dobrze jej służyć się przygotowywał.

Im dłużej jednak przesiadywał przy chorym, im dłużej słuchał tego chaosu myśli w rozgorączkowanej głowie, tem więcej tracił z tej swojej nienawiści dla Frycka.

Gdy zaczęła się rekonwalescencya, Frycek, opierając się na ramieniu doktora, odbywał wyieczki, mówił z nim, spowiadał mu się prawie, snuł nadziei nici złote i wtedy tylko zachmurzało mu się czoło, gdy doktor nieostroźnie trącił słowem o ojca, który jednak codziennie prawie listy do syna słał, o zdrowie się pytał i przybycie śpieszne do siebie nakazywał.

Matka w domu była istotą bierną. Wola Müllera była dla niej świętą; oprzeć jej się nie umiała; potulna i cicha spełniała tylko jego rozkazy.

Od połowy Lipca toczyły się walki na terytorium pruskim i francuzkiem; były to jednak drobne tylko utarczki. Pod Saarbrück, jakieśmy już powiedzieli, odegrała się komedia, i dopiero pod Wissenbourgiem rozpoczął się morderczy dramat.

Saarbrück—to jeszcze Niemcy, Wissenbourg—to już Francja. U stóp Wogezów różowiły się zdala dachy tego miasta, pod nim Lauter płynęła, maleńkie fortyfikacje nadawały cechę wojenną tej miejscowości, od której niedaleko znajdowała się spokojna siedziba naszych znajomych—Mülhausen.

Z 2 na 3 Sierpnia już tłumy wieśniaków zleciały się do Mülhausen. Kobiety przygarnęła do siebie baronowa i Stella, mężczyznom, dla bezpieczeństwa, doktor poprzewiżywał ręce znakiem czerwonego krzyża, dzieci schroniły się do kapliczki stojącej o pół kilometra poza drogą.

Zdawało się, że jedna rodzina, jedną powodowaną myślą, zgromadziła się tutaj.

Brakło im pana, ale nie zlorzeczyli mu dzisiaj; smutna i zadumana baronowa pogodniejszą miała twarz.

Ten, któremu nieszczęście całego swego zawdzięczała życia, poszedł się bić, ona wierzyła, że odwagą, mężstwem i krwią, jak będzie potrzeba, zmyje popełnione przewinienia.

Ona tak pragnęła widzieć go pokutującym, że gotowa mu była nawet mękę całego swego życia przebaczyć.

Tysiące gwiazd tej nocy sierpniowej spadało z nieba. I Stella i Frycek gonili te niktące światelka i w nich schodziły się ich oczy i ich tęsknoty.

W całej naturze był spokój, jakby dla kontrastu z tą burzą, która lada chwila nadejść miała, i której się spodziewano. Parę dni przedtem korpus generała Douay zajął w 8 tysięcy ludzi Wissenbourg.

Nocy tej nikt nie spał w Mülhausen, — nikt nie spał, aż pod Strasbourg.

Zaledwie świtać zaczynało, stotysięczna armia pruska rozpoczęła ruch dla zgniecenia osmiotysięcznego korpusu Francuzów.

Z pierwszym wystrzałem doktor na lamusie i pałacu zatknął chorągiew czerwonego krzyża.

Słońce, zza gór wychylając ciekawe swe oczy, zarumienić się musiało, ujrawszy zaciętość, z jaką ludzie walczyć zaczęli przeciwko ludziom.

Szeregi pruskie formują się w zwartych kolumnach, wśród wojska panuje cisza, przerywana od czasu do czasu tententem kawaleryi, szycującej się na skrzydłach głównej kolumny, i turkotem hałaśliwym dział, które za chwilę podniosą paszczę i zioną zniszczeniem.

Na twarzach dowódców maluje się surowy spokój i krew zimna, jakby przychodzili tutaj nie dla zabijania ludzi.

Z pozycyji pruskich rysuje się uroczym spokojna i cicha dolina rzeki, która za chwilę krwią popłynie.

Kanonierzy stoją przy działach, w każdym sercu bije przyspieszone tętno krwi, naczelnny wódz przebiega szeregi konno, widzi wszystko w porządku, na stanowisku; zmierzył raz jeszcze przez lunetę odległość przestrzeni miasta od wojska, szepnął komendę, którą w tej chwili setki powtórzyło ust, oddając ją coraz niżej, i naraz działa z swych gardzieli wyrzuciły pociski; dym z prochu otoczył zbitą masę wojska, słońce ciekawiej w górę się podniosło, ptaki gromadą uciekać gdzieś poczęły.

Po salwie tej z dział nastąpiła chwila pauzy i ciszy; chciano zobaczyć skutki pierwszego wystrzału.

O! kanonierzy pruscy strzelać celnie umiują. Dachy domów Wissenbourga poczęły się pokrywać języczkami płomieni, dymem i kurzem.

Salwa poraz drugi zagrzmiała, poraz trzeci, dziesiąty, setny, a z wissenbourskich domów zaledwie gdzieś gdzieś chude skielety ścian pozostały.

A tam, w Wissenbourgu dlaczego milczy ta garstka żołnierzy?...

Posiada tylko trzy działa, trzy działa tylko, na ośm tysięcy ludzi.

Po lewej stronie stoją dwa pułki generała Douay, —dzikich turkosów trochę i batalion strzelców konnych.

Co robić wobec tych dział, wobec tej świadomości sił nieprzyjaciela i jego pozycyji?

Lepiej to rozumie doktor, przyglądający się z wieży kościelnej Mülhausen rozpoczętej walce, dla wyrobienia sobie pojęcia o tem, gdzie ma iść ratować nieszczęśliwych, gdy padać zacząć.

— A przecie szycują się, woła zcicha, gdy bataliony dywizyji Mont-Marie forsują do ataku.

Linia wyciągnięta co jednak zdziałać może przeciw armatom na odległość tak wielką?

Rozpaczliwe położenie widzi doktor, zna je i generał prowadzący żołnierzy. W takich warunkach ratunek jeden: tornister na ziemię—bagnet do ręki.

Już biegną—naprzód.

Doktor na wieży dech w piersiach zatrzymał, bo Francuzi lecą jak huragan na linię dział prus-

kich, uderzają o kolumnę assekuracyjną, która działo broni, walczą nie na bagnety, lecz na pięści, gryzą zębami; piana wściekłości występuje im na usta: napróżno—mur pruski stoi jak skała.

Pierwszy impet i zapal mija, szeregi się płaczą, wyginą wszyscy co do jednego, jeżeli nie usłuchają głosu trąbki, która ich do odwrotu woła.

Na placu zostaje tysiące rannych, atak na bagnety się nie udał.

Ale nowa siła bieży im na pomoc, to Douy leci naprzód, wyrwał orła z rąk sierżanta i woła:

— Naprzód! za mną, za honor Francji, niech żyje Francya!

(Dokończenie nastąpi).

## NOTATKI PEDAGOGICZNE.

— *Dziennik Łódzki* pisze, że brak jest w tym mieście nauczycielek Polek, wyznania mojżeszowego. Dowodzą tego liczne ogłoszenia umieszczane w pismach warszawskich.

— *Zgoda*, stowarzyszenie Polaków w Wiedniu, utrzymuje kosztem swoim dziesięciu uczniów w Szkole Rzemiosł, istniejącej przy tamtejszem „Gewerbe-Museum.“

— W Londynie wyszła jednotomowa książka: *Przeciążenie i kształcenie elementarne* (Over pressure and Elementary Education), przez Sydney Buxton. Krytyka zwraca na nią wielką uwagę.

— *Raport komisji lekarskiej*, wyznaczonej przez rząd Alzacji i Lotaryngii w celu zbadania zdrowotności średnich i wyższych szkół żeńskich w tych prowincjach, poczynił ważne zastrzeżenia co do panującego programatu wykładanych tam nauk.—*Przeciążenie!*... oto wyraz ogólnej opinii w Niemczech i Anglii, zwłaszcza co do nauki dziewcząt, których organizm cierpi przez to więcej jeszcze, niż chłopców: młode pokolenie kobiet fizycznie nędznieje. Aby tego uniknąć, należy trzymać się ściśle następującego *maximum*: „W siódmym i ósmym roku godzin zajętych w szkole, tak lekcyjami, jak robotą ręczną tygodniowo 18; godzin przeznaczonych na odrobienie ćwiczeń w domu 6½; w roku dziewiątym godzin zajętych w szkole 22, w domu 6½; w roku dziesiątym i jedenastym w szkole 24, w domu 6½; w roku dwunastym, trzynastym i czternastym godzin szkolnych 26, w domu zajętych 6; w roku piętnastym i szesnastym zajętych w szkole godzin 28, w domu sześć.“ Lekarze francuzcy utrzymują, że w trzech pierwszych pozycjach (od 7—11 roku), powinno jeszcze ująć się po 2 godziny tygodniowo. *Rapport* ten, podpisany przez 12 lekarzy, dodaje: „Tak w szkole, jak w domu dziewczęta, podobnie jak chłopców bronić się powinno przed zbyt długim siedzeniem bez przerwy i należy dawać im między godzinami zajęcia siedzącego pauzy, w czasie których powinny używać oile można ruchu, zupełnie swobodnego. Lekcje powinny wydawać stojący; szkoła powinna wysyłać je codziennie na przechadzkę; powinna umacniać i odświeżać ciało i umysł uczennic przez ćwiczenia gimnastyczne, specjalnie dobrane dla nich, oraz przez wesołe gry, rozwijające naturalny wdzięk ruchów młodego dziewczęcia.“

„Skrzywienie kości pacierzowej bywa często skutkiem złego trzymania się kibici, przechodzącego prędko w nawyknienie; także garbienie się pleców, oddziaływające bardzo szkodliwie na zdrowie rosnącego dziewczęcia, a zwane „skoliozą chorobą szkolną.“ Dziewczęta ulegają tej przypadłości więcej niż chłopcy, ponieważ sprowadzające ją przyczyny dotykają je w chwili rozwijania się organizmu. Ławki szkolne nie dość wygodne, niedające członkom należytego oparcia, zmuszają do przybierania pozycji pochylonej, zle oddziaływającej na kość grzbietową.“

„Pisanie bywa tu gorszem w skutkach, niż roboty ręczne; ale za to te ostatnie wywołują zbytnie zbliżanie oczu do roboty, pochylanie nad

nią głowy i t. p., a to znowu sprowadza krótko wzroczność plagę dzisiejszych pokoleń, łączącą się z uderzaniem krwi na mózg.“ W skutek tego angielscy pedagogowie niechętnie przyjmują do swego programu zabawki, a raczej prace, na które systemat Frebela skazuje dziecko. Już i w Niemczech podniosły się głosy okulistów, dowodząc, że krótkowidztwo rozszerzające się zatrważająco w Niemczech i Szwajcaryi, jest skutkiem owych zabawek, które do ochrony wprowadziła metoda Frebela. Jeżeli weźmie się pod uwagę możliwe skutki dziedziczności, następujące pokolenia jeszcze ciężiej dotknięte być mogą tem kalectwem.

„Wszystkie prace ręczne powinny mieć miejsce tylko w salach bardzo dobrze oświetlonych i ze specjalnym względem na wzrok młodych pracownic—najlepiej, jeżeli można, aby światło padało z góry lub z tyłu, a wreszcie od lewej strony, a nigdy od prawej. Pracowanie pod światło, jest przez łamanie się jego promieni w wysokim stopniu szkodliwe. Roboty ręczne powinny stanowczo odbywać się w tych środkowych godzinach dnia, gdy oświetlenie sal szkolnych jest największe.“

— *Kongres nauczycieli niemieckich*, 26-ty z rzędu odbyty tego lata w Darmstademie, zgromadził 2,000 nauczycieli, nauczycielek, profesorów, dyrektorów i dyrektorek szkół, obok znacznej liczby delegowanych i urzędników z zarządu szkolnego. Prussy były bardzo słabo reprezentowane, ponieważ kongresy te nie są już dziś widziane przez Bismarka tak przychylnie, jak wtedy, gdy po wojnie francuzko-niemieckiej nazwał on nauczyciela szkoły ludowej towarzyszem broni żołnierza niemieckiego. Narady dzieliły się na sześć działów. Dział, którego zadaniem było: „szkoła elementarna i wychowanie“ sformułował tak poglądy swoje: „Nauczanie szkoły elementarnej powinno dać dziecku wszelkich stanów wiadomości elementarne, ogólnie i niezbędnie potrzebne wszystkim. Szkoła elementarna jest zakładem naukowym, powinna ona kształcić dziecko moralnie, religijnie i estetycznie, nie tracąc z oczu tego celu, że przygotowuje do życia praktycznego Obywatelskiego i politycznego wykształcenie narodu powinno zaczynać się wraz z nauczaniem elementarnem. Tak tu, jak i w dziale: „Organizacja szkół według zasad pedagogii“ usunięto wszelką myśl o pracy ręcznej, w połączeniu ze szkołą, a w dziale: „Prawo o pracy dzieci i kobiet“ zostało wyrzeczono: „Kongres potępia szkołę fabryczną (Fabrikschule) i wyraża życzenie, aby żadne dziecko nie było dopuszczonem do żadnej fabryki, kopalni, dopóki nie skończy lat czternastu. Niech męzatka ma zostawiony sobie czas swobodny, którego potrzebuje wychowanie dzieci i zajęcia rodzinne, a gdy pracuje, niech jej dziecko zostaje pod opieką osób przeznaczonych do tego. Niech dziewczęta i chłopcy od 14 do 18 lat, zajęci w fabrykach będą obowiązani do uczęszczania dwa razy tygodniowo do szkoły dziennej dla dorosłych ażeby mogło uzupełniać swoje wiadomości naukowe, nabywając zarazem uzdolnienia zawodowego.“

— *Święto drzewa* zostało ustanowionem w Ameryce dla szkół Stanu Pensylwania, ze względem na dwa pożyteczne cele. Szybka i liczna kolonizacja w starych Stanach Ameryki, trzebiąc odwieczne lasy, poczęła zagrażać brakiem drzewa, niebezpiecznym dla stanu wód, higienicznych i przemysłowych warunków życia; o toż w Marcu bieżącego roku, gubernator Pensylwanii, Robert Pattison, ogłosił przez pisma i plakaty, że dzień 16 Kwietnia czyni dniem sadzenia drzew wzdłuż dróg, ulic, na placach publicznych i wszędzie, gdzie znajdzie się miejsce, odpowiadające temu; a miejscowe władze szkolne, wychowujące młode pokolenie w silnie rozwiniętym uczuciu obywatelskości, wyzyskały zaraz tę myśl na korzyść rozwijania w dzieciach solidarności ze społeczeństwem swoim. Postanowiono, aby szkoły wzięły udział w tej publicznej pracy dla przyszłości, i w dzień przeznaczony przez gubernatora szeregi szkolne z nauczycielami na czele, każda szkoła z chorągwią swoją, ruszyły ma miejsce już przygotowanej pracy i starsi, łącznie z młodszymi, poczęli szybko kopać doły, sadzić przy-

gotowane płonki, dając każdej z sadzonek nazwisko umiłowanego przez siebie bohatera. Więc sadzono drzewa Waszyngtona, Franklina; kasztan uświęcony popularną w całej Ameryce poezją Longfellowa zostało gólnie ochrzczone jego nazwiskiem, bo odbywała się przytem i uroczystość chrztu, spełniana niemal rytualnie. Przed rozpoczęciem pracy dzieci odśpiewały pobożną pieśń do Ducha Ś-go, prosząc o błogosławieństwo Boga dla pracy swojej, następnie zaś, nauczyciel, zatrzymując się przed każdym zasadzonem drzewem, wylewał na nie czarę wody, mówiąc: —O drzewo! piękny tworze Boga, chrzczę cię i nazywam (naprzykład Waszyngtonem, Lincolnem). Rośnij i kwitnij dla radości serc i oczu ludzkich, pokolenie za pokoleniem. Roztaczaj konary, dając cię w upały, a zaciszność w czasie burzy, niech spocznie pod niem podróżny, a pień twój niech da oparcie głowy zmęczonemu. Jak ten, którego nazwisko nosisz, siej w serca ludzkie dobro, budząc pamięć jego czynów zacnych.

Potem nastąpił choralny śpiew starej, patryotycznej pieśni amerykańskiego poety Brayna o zasadzeniu jabłoni i dzieci wróciły do wsi w szeregach, aby następnie rozejść się do domów wesoło, z pełną głową myśli wzniosłych, z pełnem sercem wzruszeń szlachetnych.

*Święto drzewa*, pozostaje już na zawsze pięknem świętem dla szkół Pensylwanii i zapewne rozszerzy się do innych Stanów, zwłaszcza składających Nową Anglię, gdzie przy gęstem zaludnieniu panuje już i uobyczajenie wyższe, i gdzie w szkołach cześć wielkich mężów amerykańskiej ojczyzny jest wysoko rozwiniętą. Nauczyciele, pojmujący wielki wpływ edukacyjny tego nastroju ducha, gdy myśl młodzieży obcuje ze wspomnieniami szlachetnych, dla dobra ogółu swego spełnianych czynów, gdy się przejmują dziejami życia mężów zasłużonych krajowi, rozbudzili tę cześć w sposób prosty i łatwy, dający się zastosować tak w szkółce każdej, jak i w wychowaniu domowym. Rocznicę różnych ważnych zdarzeń historycznych, występujące przy nauce dziejów, zostają uczniom szkoły przypominane przez nauczyciela, który zadaje im na ten dzień do wyuczenia się na pamięć jaką piękną poezją, związaną z przedmiotem, lub opowiedziawszy im w szkole coś ze wspomnień historycznych w tym samym przedmiocie, każe im te wspomnienia piśmiennie opracować, tak, że gdy dzień uroczysty nadejdzie, staje się on w szkole, bez przerywania prawidłowego biegu nauki, jak gdyby jubileuszowym obchodem bohatera, lub jakiegoś wielkiego zdarzenia. Tak niedawno w Filadelfii, w Waszyngtonie szkoły święciły pamięć Franklina, Lincolna. Bywają też w Ameryce takie obchody uroczyste rocznic urodzenia wielkich poetów; dzieci szkolne obchodzą na sposób podobny pamiętkę Longfellowa, którego poezya: *Kowal* jest tam we wszystkich ludowych szkołach deklamowaną, przedstawiając młodzi całego narodu wzór szlachetny i pięknego, w cichej, lecz użytecznej pracy z godnością pędzonego żywota<sup>1)</sup>. Jeszcze za życia poety działwa amerykańskich szkół ludowych ofiarowała mu z drobnych składek powstały dar: pięknie rzeźbiony fotel z kasztanowego drzewa. Taka metoda początkowego nauczania historii ma tyle zalet formalnych, że ją można nazwać doskonałą, skoro tylko nauczyciel umie ją stosować z taktem, niedopuszczającym nadużycia, któreby sprowadziło spowszednienie rzeczy wielkich i zamienienie świętych wspomnień w zabawkę.

— *Praktyczna lekcya ekonomii domowej* została wybornie pomyślaną i urządzoną we Francji, w departamencie Lot. Dwie nauczycielki szkół elementarnych, uradziwszy to między sobą, udały się w czasie tegorocznego lata z dziewczętami szkółek swoich na spacer do rzeczki, niezbyt oddalonej. Przez drogę herboryzowano; nauczycielki wskazywały dziewczętom rośliny pożyteczne, i rośliny szkodliwe, trujące. Gdy na umówionem miejscu na wybrzeżu rzeczki szkółki spotkały się ze sobą; nastąpił odpoczynek, wśród

1) Zamieszczona w przekładzie Asnyka w Nr. 51 naszego pisma, rok 1884.

którego nauczycielki kolejno tłómaczyły dziewczętom własności mydła, sody, potażu i ich działanie na bieliznę, wykazując zasady, na których się opierając, bielizna praną być może najlepiej. Tłómacząc następnie różnice w naturze tkanin bawełnianych lub lnianych, a wełny, jedwabiu, wskazywały potrzebę odmiennego z nimi postępowania. Nakoniec, gdy dzieci wypoczęły zupełnie, nastąpiła lekcya trwająca dwie godziny. Obie nauczycielki postanowiły w ciągu zimy odbywać od czasu do czasu podobne lekcye praktyczne gotowania, sprzątanania domu, tłómacząc przez objaśnienia naukowe, jakie jest działanie ognia na potrawy, jakie skutki wywiązują się z pewnych połączeń materjałów spożywczych, a dalej, jaką jest natura kurzu, brudu, wilgoci, zatechłego powietrza. Taki systemat praktycznego nauczania ekonomii domowej, objaśnianej naukowo za pomocą posiadanych przez uczennice wiadomości z chemii i fizyki, jest wybornym, i każda nauczycielka domowa, wespół z matką, łącząc, co jedna wie z praktyki, a druga rozumie naukowo—mogłaby wprowadzić go w nauczanie dziewcząt. Lekcye gospodarstwa na podstawach wiedzy naukowej nie ograniczałyby korzyści swojej do tego jedynie, czegoby się dziewczęta na tych lekcyach dowiedziały, ale byłoby to dobrą wskazówką dla przyszłości, a co najwięcej, byłoby to wykazanie dziewczętom, że gospodarstwo domowe rozumnie prowadzone ma swoją ważność niemałą, tak w kierunku oszczędności, jak i zdrowia rodziny. Dziewczęta zrozumiałyby wtedy na drodze praktycznej słowa owej Angielki, że „przyrządzanie pożywienia dla zdrowych, nie jest niczem niższym, od pisania recept dla chorych.“

## Z ŻYCIA ARTYSTY.

(Dokończenie)

Nazajutrz był z żoną w kościele. Malca obiecała pilnować córka gospodyni, i mąż z żoną wyszli razem, szczęśliwi szczęściem nieznanem nigdy ludziom, którzy nie przechodzili przez podobne próby losu. Mąż prowadził pod rękę swoje ładną, młodą żonkę i wyglądali obok siebie jak brat z siostrą, a ustroili się, jak mogli, najparadniej i ludzie uśmiechali się do nich: znajomi, nieznajomi, bo nowina o szczęściu mistrza rozniosła się już po całej ulicy. Wszystko zdawało się im winszować, mówić: „Szczęść Boże!“... poczynając od kwietniowego słońca, które grzejąc ziemię, zapowiadało, że za dwa dni będzie Maj. Wietrzyk wiał ciepły i piersi tych dwojga ludzi, długo ściśnięte, rozszerzały się wciągając w siebie nowe życie: to też w kościele modlili się oboje gorąco, szczerze, z wielką wdzięcznością dla Boga, tak jak Jan modlił się chyba dzieckiem. A gdyby nie było się tak stało, jak się stało? Gdyby on był popełnił omyłkę co do swego talentu? Zaczął sobie wyrzucać ożenienie się. Jak mógł tak szalenie ryzykować los kobiety, zanim wypróbował się i wyrobił sobie miejsce wśród świata? Ale gdy ją uczuł znów obok siebie, dobrą, łagodną, na wszystko godzącą się Nelli swoje, przytuloną do jego ramienia, czuł się tylko szczęśliwym bez granic.

Wracając do domu nadłożyli drogi i szli przez park. Drzewa pękały i okrywały się młodym liściem, ptaki swiergotały na gałęziach, a czysty, bez chmurki żadnej błękit nieba, rozciągający się w górę, tchnął uroczystym, łagodnym spokojem, i to piękno wiosny przeniknęło duszę artysty. Szedł jak upojony: stawał, patrzył, aż naraz przycisnął do siebie ramię żony. — Ach! Nelly—zawołał—nie myśl, żem ja się przenieśliśmy sztuce, żem się stał przedajnym jej synem!... Gdym wczoraj tak rachował tylko zarobek otrzymany, to nie było prawdą, rzeczywistą prawdą mojej natury — Ale wy... ty i dziecko... Ja sam dla siebie nic-bym nie chciał, prócz rozkoszy tworzenia i tryumfowania—budzenia w piersiach ludzkich zachwyty dla piękna.

Rozgrzany, zaczął marzyć głośno. Żona była połową jego własnej istoty i przed nią mógł się tak wylewać, aż do dna serca, mógł wszystko mówić. Miał mnóstwo projektów do nowego obrazu—mnóstwo wizji twórczej fantazyi przed sobą. Jego Afrodyta, to pierwsze z kolei objawienie się bożkości piękna. Naga jest, ale niemniej czysta i skromna. Wyszła z wód, stojącą na brzegu i zapatrzoną w tajemniczą dal krajobrazu, otoczony obłokiem mgły, rzucił na nią tę lekką, srebrzystą draperyą, aby była postacią dziewczęcą...

Na ulicach już tak rozmawiać nie mogli, ale mieli przed sobą cały spokojny, cichy, wdzięczny dzień świąteczny. Jan cieszył się z tego, że mu tak wypadło, cieszył się, że w jego ojczystym kraju tak się obchodzi święto: uroczyste, w odrwaniu od wszelkich spraw, zajęć, interesów powszednich. Już nie wyjdę, bo Nelly nie może odstąpić dziecka, synka najdroższego, a on też sam nie pójdzie, nie.. I jutro, oprócz porannej wycieczki do Akademii, uroczystego aktu jego tryumfu, oprócz załatwienia interesu z kupcem obrazu, całą resztę dnia z nią przepędzi. Potem już się będzie musiała obywać bez niego, całe, całe dni będzie on przepędzać w pracowni, będzie tam żył, tworząc, malując obraz za obrazem...

Nazajutrz młoda para obudziła się niezmiernie rano, prawie ze świtem dnia. Jedno nie chciało budzić drugiego, aż nareszcie poznali że się oszukują wzajemnie i śmiejąc się podnieśli z łóżek. Nelly zrobiła mężowi pysznej kawy, palił przy niej swoje wyborne cygaro i czuł się używającym rozkoszy świata jak nabab wschodni. Ubrał się z możliwą elegancją, a że miał ją w sobie: w ruchach, w postawie, w pięknej, jeszcze młodzieńczo gibkiej kibici, nie zniknęła, choć suknie, które włożył, były już podniszczone, zeszlóroczne. Był wysoki, szczupły, ściągłej twarzy szatyn — był, co nazywają ładny chłopiec, a ożywienie szczęścia dokonało reszty i nietylko w Akademii, ale na pokojach królowej nie byłby źle wyglądał. Wziął do kieszeni pozostałego jeszcze ze skarbu Nelly szylinga, jej zostawił dziesięć pensów, aby dzień nowych dostatków nie zastawał jej „bez pieniędzy!“ Był wesół bardzo; w każdym razie związali koniec z końcem — było więc wszystko w porządku.

Nie wszedł do omnibusa, wolał iść; dzień był niemniej pogodny i piękny jak wczoraj, tylko ulice więcej żywione ruchem, ale to właśnie było mu teraz tak przyjemną rzeczą, jak wczoraj uroczysty spokój święta. Szczęście godzi się łatwo ze wszystkim, wszystko mu się podoba, i to właśnie stanowi jeden z jego warunków, że nie przestaje być szczęściem. Przebył ulice zapełnione ruchem i gwarem pracowitym, i wyostał się na szersze, spokojniejsze, z inną ludnością, z innym charakterem i tu było mu inaczej miło, inaczej rozkosznie. Zbliżał się do świątyni sztuki, która go miała przyjąć jak swego adepta, wpuścić do swego przybytku i stawał się dumnym z siebie; zaczynał doznawać śmiesznego uczucia nowicyuszów, zdawało mu się jakby wszyscy przechodnie patrzeli na niego i wiedzieli, że idzie do Akademii, gdzie dziś przyjmują tylko wybranych. Już w pobliżu gmachu Akademii zobaczył na załamie ulicy kwiatciarkę, sprzedającą kwiaty. Dziewczynka była jeszcze niezupełnie dorosła, jasnowłosa, biała i szczupła. Zdawało mu się, że jest podobną do Nelly, zdawało mu się, że patrzy na przechodniów miłosiernie, jakby prosiła o kupowanie jej towaru. Były to fijołki: leżały ułożone w większe i mniejsze pęczki, woń ich rozchodziła się słodko, i Jan zapragnął naraz ustroić sobie niemi dziurkę swojej marynarki. Tak! jemu należało się dziś mieć kwiat u boku, wreszcie ta dziewczynka pragnie zarobić. Więc przystąpił do niej; wybrał sobie najmniejszy, z kilku kwiatków złożony bukietek, za który dał szylinga—nie chcąc reszty. Była stanowczo podobna do Nelly, miała takiesame niebieskie oczy i biedactwo może też potrzebowało związać koniec z końcem!

Nareszcie przybył do celu! Drżał lekko przekraczając próg Akademii, drżał lekko przebywając przedsięwzięcie: wchodząc do pierwszej, ogrom-

nej zaraz sali. Obiecał Nelly spieszyć się i niebawie się zbyt długo, nie trzymając ją w niespokojnem oczekiwaniu, jak i gdzie obraz jego został umieszczony? Przytem on sam doświadczał podobnego uczucia ciekawości; rzucał też niemal pobieżne spojrzenia na utwory, z których niejednym przejmował go uwielbieniem, ale będzie miał potem czas patrzeć, zachwycać się, studyować; teraz się spieszył.

Byłby jednak pragnął zatrzymać się przy kilku stalugach, na których koryfeusz angielskiego malarstwa, ludzie znani mu ledwie z widzenia, wykończyli jeszcze swoje utwory. Ale nietylko się spieszył. Nie śmiał obcesowo przystąpić do nich; bieda w połączeniu z życiem rodzinnem człowieka żonatego, trzymała go zdala od kół artystycznych; oprócz kolegów w studyach i profesorów Akademii, nie znał nikogo z potentatów pędzla. Trzeba mu było pierwej trochę rozgłosu, aby wejść w te sfery... Może go otrzyma? Kto wie, gdzie jego Afrodyta zawieszoną została?

Więc nie zatrzymując się, szedł dalej z piękną ciekawością w piersiach. Przecież malarz I... zauważył go i pokazał malarzowi F...—Patrzcie mistrzu, co to za charakterystyczna głowa! Nowy... nie znam go; nie bywał tu jeszcze nigdy.

— Tak, typ szlachetny, ale coś jak Apollo i męczennik. Piękny młodzieniec, lecz bardzo miżerny...—błąd i jakdyby znękany.

Malarz F..., była to zacna dusza, dobre, współczujące serce. Jan uderzył go wyrazem twarzy zmęczonym. Posłał za nim dobre życzenie, aby obraz jego nie utonął w powodzi innych.

A on tymczasem był już w drugiej, w trzeciej sali, i serce zaczęło mu bić coraz silniej. Czyżby jego tryumf był tak wielkim? Czyżby Afrodyta znalazła miejsce między najpierwszymi?...

Nie... nie znalazł jej w salonie honorowym i doznał uczucia rozczarowania, które sam sobie wymawiał, ale którego niemniej doświadczał. Niebezpiecznie jest roić marzenia, choćbyśmy sobie naprzód powiedzieli, że nie są możliwe do ziszczenia, zawód zawsze po nich przychodzi, gorzki, gryzący serce. Przecież Jan wytrzeźwiał prędko spod jego władzy pod niemniej przykrem uczuciem niepokoju, bo nie mógł znaleźć swego obrazu w piątym, szóstym, siódmym salonie.

Nie było go w ósmym, dziewiątym. Z szumem w uszach, ze zmrokiem przed oczyma wszedł Jan do sali akwarelli, przeszedł następnie do sali rzeźb. W braku miejsca, a obrazów było mnóstwo; mnóstwo, jak nigdy, mogli powiesić jego Afrodytę, gdzie się dało.

Ale niema i tu... Musiał albo obraz swój przeoczyć, albo znaleźć go w ostatnim, dwunastym pokoju. Choć to była wązka galeria, prawie kurrytarz ale trzeba się zgodzić z przeznaczeniem. Nie miał stosunków, nie znał go osobiście nikt z akademików i dano mu to najgorsze miejsce. Żałował tylko, że się męczył przebywaniem wystawy akwarelli i rzeźb, był tak osłabły teraz, tak mu coraz sił ubywało, że powinien się był oszczędzać i nie tracić czasu. Byłby już skończył ten męczący pochód, byłby już wracał teraz do domu i Nelly byłaby miała prędzej pożądane wiadomości. Rozumiał teraz, co to znaczy nie móc osiągnąć czegoś zbyt długo, choćby się miało pewność posiadania.

Jan był też pewnym przecież... tak, był pewnym! Szkoda tylko, że szedł to pieszo i teraz nogi tak mu ciężą. Odpochnie skoro tylko ujrzy swój obraz. Siądzie, odpochnie, ale potem zaraz ruszy do domu, do Nelly...

Odpochnie, skoro ujrzy swój obraz... nie ujrzał go przecież nawet tam, w najgorszym miejscu, w pokoju dwunastym. Nie ujrzał go; a jednak musiał odpochnąć, bo wystąpił na niego taki pot zimny i uczuł się tak straszliwie słabym... Zrobił ledwo kilkanaście kroków i musiał siąść w galerii akwarelli.

Czy usnął?... nie wiedział tego... Nie wiedział nic, aż ktoś dotknął jego ramienia. Były to dwie młode malarki, akwarellistki, które spostrzegły go, bladego jak śmierć, z głową opadłą w tył na ciemno pąsowy akamit sfoeczki w kąt wsuniętej.

— Czy panu nie słabo?—zapytała jedna z nich lekliwie. — Zdawało nam się, żeś pan omdlał...

— Omdlał... Nie wiem... Nie... tylko bardzo się zmęczyłem. Szukałem mego obrazu po wszystkich salach, ale nie znalazł. Nie wiem, co to znaczy?

— A czyś pan pewny, że go przyjęto?...

— Ach... cóż znowu... mam bilet wnijsia imieniny, przysłany mi do domu.

Kobiety spojrzaly po sobie. — Możesz pan źle szukać, ominała którą salę. Należy się trzymać numerów — rzekła jedna jakoś zcicha, nie śmiało.

— Nie, nie ominałem, ale pewno przeoczył. Może panie widziały: wielkie płótno — morze przy blasku księżyca, na brzegu Afrodyta, jak w obłoku mgły. Mogły panie patrzeć, obraz mój jest ucieciwy.

— Nie widziałyśmy... Nie musiałyśmy też być dość uważni.

Jan się dźwignął, zaręczał, że siły wróciły mu już teraz, że mu nic nie jest, nawet nie boli go głowa. Pożegnał litościwie patrzące za nim kobiety i szedł, stawiając nogi, jakby miał z drewna. Przecież omdlenie już nie wróciło, tylko pot występował mu na czoło kroplami, jednak szedł z sali do sali, czasem nawet popychając kogoś, co mu stał na drodze, czasem potrącając, bo nie widząc, że ma kogoś przed sobą. Kilkakrotnie dosiadał czył złudzenia wzroku, zdawało mu się, że widzi swój obraz tam, gdzie spostrzegł kupkę ciekawych i wtedy nie robił z nikim ceremonii. Raz zawołał głośno i gniewnie na jakiegoś udekorowanego pana... Proszę ustąpić...

Zaimponował i ustąpiono mu się, ale on prędko cofnął się w tył. Wizya zniknęła, i odszedł mając wzrok lunatyka. Wtedy to zauważył go znów malarz F. i poznał, że coś ciężkiego stało się z tym młodzieńcem, który przed chwilą, jakkolwiek miał rysy twarzy zmęczone, wszedł tu jednak uśmiechnięty, z kwiatkiem u piersi. Kwiatek był tam jeszcze, ale, niestety! uśmiech znikł.

I szedł za nim z litością w sercu a razem niespokojny. — Pewno się spodziewał honorowego miejsca — myślał. — Ambitny jest widać i uczul ciężko zawód.

Szedł jak ojciec za synem aż do przedsionka, do łoży odźwiernego, który przyjmuje u wejścia, a oddaje przy wyjściu bilety wolnego wstępu na wystawę. Jan przystąpił do okienka hardo.

— Gdzie jest mój obraz? — zawołał ostro, surowo — gdzie go podzieli?

— Nie wiem — odparł odźwierny — to nie moja rzecz...

— Człowieku! gadaj... — krzyknął Jan jeszcze namiętniej, — i wtedy malarz F. przystąpił do niego. Odprowadził go na bok i wypytał o wszystko. Jan z początku był i dla niego niegrzeczny, dziki, ale powoli zlagodniał. Opowiedział, że ma przysłany bilet wejścia, że nie odebrał zawiadomienia o odrzuceniu jego obrazu, a przecież nie znalazł go nigdzie! Szukał uważnie dwa razy, przeszedł wszystkie sale, ale nie znalazł!

— Omylono się znać, przysyłając panu ten bilet — ozwał się wtedy malarz F. litościwie. Obrazów jest mnóstwo; wpisano pańskie nazwisko niewłaściwie w księgę przyjętych wystawców. Już się raz tak zdarzyło.

— Już się raz tak zdarzyło... powtórzył z gorącością, ale łagodnie. Poprzednia furja odstąpiła go zupełnie, przecież nie chciał przyjąć miejsca, które malarz F. ofiarował mu w swoim powozie. Chciał go odwieźć do domu, ale Jan nie przyjął; odpowiedział, że woli iść pieszo.

Malarz F. podał mu rękę na pożegnanie, wręczył swój bilet z adresem i prosił, aby Jan był u niego. — Poradzimy sobie — mówił zyczliwie, jak przyjaciel do przyjaciela. — Na przyszły rok to się naprawi, wymalujesz pan coś w warunkach zapewniających powodzenie.

— O! nie... nie... — odparł Jan gorzko. — Nie mam ja czasu na to...

Nie miał go rzeczywiście. Cudem silnej woli doszedł do domu, wszedł nawet na schody, ale padł martwy w chwili, gdy zobaczył żonę.

— Omylono się!... — zawołał i pochwycony przez nieszczęśliwą kobietę, umarł na jej rękę.

## Z DZIAŁU PRZYRODY.

### Z kroniki najnowszych odkryć naukowych i wynalazków.

Nowe spostrzeżenia dotyczące bacillus przecinka. — Czy jest on w istocie sprawcą cholery? — Czy epidemia jest przenośna? — Nieużyteczność kwarantan. — Dane statystyczne. — Rezultaty badań Dujardin-Beaumez'a i jego opinie. — Jak straszliwymi niszczycielami są węże jadownicze. — Gibbon Tonkiński. — Prastara legenda o nim. — Ryż Mandżurski. — Światło z trocin. — Kora z drzewa psiego.

Wysledzić przyczynę cholery i podać zaradcze środki lecznicze na tę straszliwą plagę: oto dziś najważniejszym zadaniem fizyków i lekarzy. W czasie grasującej epidemii w roku ubiegłym we Francji Pasteur wysłał do Marsylii i Tulonu dwóch swych współpracowników dla wykrycia i zbadania mikrobow cholerycznych; Koch zaś, lekarz niemiecki, który w głębi Indyi oddawał się tego rodzaju poszukiwaniom, w tym samym celu udał się do Tulonu. Badania tych uczonych nie przyniosły niestety pożądanego rezultatu.

Wysłańcy Pasteur'a powrócili do Paryża z niczem. Koch wykrzył wprawdzie w płynach cholerycznych istnienie organizmu, który nazwał *bacylusem przecinkiem*, ze względu na postać tej istoty przypominający znany nam znak pisarski, nie zdołał jednak wysledzić, czy ów przecinek jest rzeczywistym sprawcą epidemii. Pomimo to badania Kocha dały bardzo ważne wskazówki mogące posłużyć do osiągnięcia upragnionego rezultatu. Według opinii Kocha, wyłączeniem *siedliskiem tego bacylusa są trzewia*, a głównie kończyna dolna kiszki cienkiej. Przejawia się on tam w ilości tem większej, im cholera wzmogła się silniej. Gdy chory zaczyna odzyskiwać zdrowie, bacylus zwolna znika. W wypadkach nie uniknionej śmierci istnieje on w trzewiach w nieprzebranem mnóstwie. Potworek ten rozradza się z nadzwyczajną łatwością w bieliznie splamionej wydzielinami cholerycznymi, co nam wyjaśnia fakt dobrze znany, że często bielizna chorych staje się przyczyną zarazy.

Bacyllus przecinek porusza się i pływa z wielką szybkością. Doktor Koch wykrył go w trzewiach wszystkich choleryków zmarłych, nigdy zaś nie napotkał w wypadkach dysenterji, dyaryi, w owrzodzeniach trzewiowych, ani w żadnej materji organicznej w stanie rozkładu. Od wszelkich innych organizmów mikroskopowych, bacyllus odróżnia się swą postacią przecinkową, charakterystyczną, typową. Pozbawiony płynu, wysycha i zamiera w krótszym czasie od innych mikrobow; rozradza się tylko w ośrodkach alkalicznych, jak trzewia, ginie zaś w ośrodkach kwaśnych jak żołądek. Wszelako jeżeli trawienie nie odbywa się normalnie, może się zdarzyć, że bacyllus przejdzie w stanie zdrowym z żołądka do kiszki. Faktem jest, że cholera ulegają głównie osoby ze słabym i trudnym trawieniem i w ogóle dotknięte cierpieniami w przewodzie żołądkowo-trzewiowym. Koch uwidoczniał byt tego jestestwa pasożytnego w produktach patologicznych właściwych cholere, i w tem cała jego zasługa. Przecinek wszelako, jak to dziś najnowsze badania udowodniły, *nie jest bynajmniej sprawcą cholery*, gdyż zaszczepiony zwierzętom nie wywołuje nigdy zjawisk jej właściwych. Nie zdołano też dotąd odtworzyć zarazy za pomocą produktu otrzymanego z płynów patologicznych cholerycznych.

Na jednym z ostatnich posiedzeń Paryskiej Akademii Medycznej, roztrząsano wiele kwestji dotyczących epidemii, a między innymi: czy pochodzi ona z Indyi, czy też może się wytwarzać na miejscu, nie przenosząc z jednego kraju do drugiego mniej więcej odległego, jak naprzykład Indye i Egipt?

Doktor Juliusz Guérin udowodnił, że cholera nigdy nie przenosi się z krajów odległych, gdyż powstać może wszędzie, jeśli warunki miejscowe pozwalają na jej rozwój, a zatem przeważnie w miejscowościach z natury niezdrowych, równie

jak tam „gdzie zaniebdywane są elementarne przepisy higieniczne.“

Czy cholera jest zaraźliwa? Jaką drogą przenoszą się jej miazmata? Czy za pośrednictwem powietrza, wody, czy też wydzielin lub odzieży? Oto pytania, które były przedmiotem długich dyskusyj, i pozostają dotąd nierozwiązane.

Z kolei roztrząsano kwestyą użyteczności kwarantan, wśród krzyżowania się z sobą opinii najsprzeczniejszych. Wiadomo, jak ostremi są przepisy kwarantannowe, jak niezdolne więzienie narzuconem zostało na granicach Hiszpanii, Włoszech i Szwajcaryi turystom wracającym z podróży. Zastosowano do nich środki dezynfekcyjne w tym stopniu, w którym wstręt graniczy ze śmiesznością. Nieszczęśliwych podróżnych zamknięto w salach *ad hoc* i poddano ich przymusowo nakadzaniom chlorem i kwasem siarczanym. Jeden starzec u bram Włoch padł martwym w skutek tej barbarzyńskiej procedury. Dezynficyowano nawet ciała dezynfekcyjne! — przeniesiono bowiem do sali dezynfekcyjnej wskutek niedorzecznego polecenia całą beczkę chlorku wapna.

Handel i stosunki prywatne uległy srogiemu przesładowaniu; w imieniu praw kwarantanny, a jednak właśnie w tych krajach, w których najsurowiej ją przestrzegano, przejawiała się najsilniej cholera, to jest we Włoszech i w Hiszpanii. Fakt to wymowny, na który głównie powoływał się Guérin: a jednak fakt ten nie wydał owoców, gdyż kwarantanny są dziś więcej, niż kiedykolwiek, na porządku dziennym. Dość tu przytoczyć małe miasteczko Yport nad kanałem la Manche, w którym gdy kilka osób zapadło na cholere, rządy holenderski i belgijski wzbronily wstępu statkom przybywającym z Francji, i port Havre został objęty tym zakazem. Szał jakiś paniczny ogarnął Europę na wieść o zbliżaniu się cholery w roku bieżącym, a ponieważ kwarantanny są poczytywane za najprostsz i najpewniejszy środek zapobiegający rozszerzeniu się epidemii, nie było więc nic pilniejszego, nad wyciągnięcie kordonów sanitarnych, które w rzeczywistości żadnej nie stanowią zapyry dla cholery.

Wprowadzone w użycie nowe środki lecznicze, jako to: kollydion, kwas salicylowy, jodek etylu, laudanum, podazotan bizmutu, nie przedstawiają żadnego systemmatu, żadnej metody. Terapeutyka zastosowana do cholery kroczy dziś poomacku tym samym torem, jak w roku 1832.

Odwonniki dotąd znane nie odpowiedziały oczekiwaniom. Pasteur głosu je za kwasem podazotnym; lecz jak go użyć — nie podaje, a wiadomo, jak gaz ten jest drażniącym i nieoddychnalnym. Za najnieodolniejszy ze wszech odwonników Pasteur poczytuje kwas fenilowy, który też dziś wychodzi z użycia.

Statystyka odnośnie cholery podaje dane nauuczające.

Cholera dosięga przeważnie mężczyzn w wieku od 31 do 70 lat; kobiety w wieku od 31 do 40 lat; starców, którzy lat 70 przeżyli, nie dotyka. Więcej ulega jej mężczyzn niż kobiet. Stosunek mężczyzn dochodzi 60,64%, kobiet 39,36%.

Pod względem zawodów cholera najwięcej dziesiątkuje robotników (12%) i slug (10%). W mniejszym już nierównie stosunku, bo 3 do 4% zabiera krawców, ślusarzy, bronzowników, tokarzy, murarzy, furmanów, szewców, gałganiarzy, szwaczki, modniarki, praczki.

W szpitalach na stu chorych umiera przeciętnie 52%; śmiertelność większa przejawia się wśród kobiet (53,31%), niż wśród mężczyzn (52,33%), jakkolwiek przeciętnie na 34 mężczyzn tylko 32 kobiet ulega cholere.

Rzecz osobliwsza: w czasie grasującej epidemii w Paryżu, ani jeden z czyscieli ustępów miejskich nie padł jej ofiarą.

Najwięcej dosięga ona ludzi osłabionych poprzednimi chorobami chronicznymi, wyniszczonych nadużyciami, pozostających w nędzy, żyjących w niechlujstwie, w ośrodkach pozbawionych całkiem warunków higienicznych. Według opinii słynnego lekarza Dujardin-Beaumez'a, od dawna studiującego epidemii, osoby zachowujące spokój umysłu są od niej wolne, przeciwnie osoby trwożliwe zwykle jej ulegają.

Wszelkiego rodzaju znużenie, — powiada ten specjalista, usposabia do niej organizm, jako to: nadmiar pracy, nadużycia, czuwanie w nocy, kąpiele zimne i długotrwałe, — jednym słowem: to wszystko, co wyczerpuje siły wywiera w czasie epidemii fatalne wpływy.

Oziębianie ciała, zwłaszcza podczas snu, gdy są otwarte okna, lekka odzież niezabezpieczająca od zimna, zwłaszcza po dniu zbyt gorącym, nadmierne przyjmowanie wewnątrz zimnej wody, są najniebezpieczniejszymi w czasie cholery. Dujardin-Beaumez poczytuje wodę w złym gatunku, jaką otrzymujemy z rzek i ze studni za najenergiczniejszy rozsołnik cholery. Zaleca on z tego tytułu wszelką wodę przeznaczoną do użycia podejrzaną czystości, gotować do stopnia wrzenia i mieć ją w zapasie, gdyż to zapewni bezpieczeństwo. Radzi też używać za napój wyciąg z herbaty, chmielu, tyśiącznika, i roślin gorzkich, z domieszką wina. Za napój najstosowniejszy w czasie cholery podaje złożony z 40 gramów araku, z 4 gramów tynktury alkoholowej z goryczki żółtej (*gentiana lutea*) i z kwarty wody świeżej.

(Dokończenie nastąpi).

## DROBNE LISTKI.

— **Pieśni z nad Niemna** (*Chansons du Niemen*), w francuskim przekładzie Adolfa Avril, wyszły niedawno w Paryżu u wydawcy Leroux. Tłómacz przekładał je ze zbioru wydanego bezimiennie w Wilnie 1838 r. Jest tych pieśni dwadzieścia cztery. Krytyk francuski, który je rozbił w paryżkim *Journal des Savants*, wysoko podnosi ich poetyczność, prostotę pełną wdzięku, lecz uderza go szczególnie ich delikatność w wyrażeniu uczucia, którą nazywa „godną uwagi“ — ich czystość. „Niema w nich wcale (absolutnie), nic nieprzystojnego“... pisze, dodając, że jest to w poezji ludowej rzeczą wyjątkowo rzadką. Tęskne, pełne tkliwości i słodyczy, zdają mu się być utworami kobiecej muzy wiejskiej. Pragnąłby też żywo poznać lud, który tak śpiewa — tak marzy, tęskni, kocha.

— **Francuzi w Węgrzech**, gdzie dla obejrzenia wystawy zjechali drużyną, z Lesseps'em na czele, byli przyjmowani entuzjastycznie. Były ucztę, wieniec, toasty. Coppée improwizował wiersz u stóp posągu Petöfięgo, i wróciwszy do siebie Francuzi rozpisali się o tem wszystkim, obiecując, że będą pisać więcej jeszcze „de la belle Hongrie.“ Lecz naraz przyszedł z Pesztu list bardzo wdzięczny, bardzo serdeczny, z pytaniem przecież, czy miano czas i możność poznać: „la vraie Hongrie?“ List ten, przesłany do *Revue Littéraire*, czyni grzeczną uwagę, że można się mylić, pisząc o kraju i narodzie widzianym w przelocie. Naprzykład Francuzi omylili się pod względem zrozumienia kobiet węgierskich. Wyszły one naprzeciw Francuzów z bukietami kwiatów, bo była to fraternizacja Węgrów z Francją. Lesseps, dziękując, począł całować. To było dobrze, to wzruszyło, bo był to ich „illustre et venerable chef“, ale, że chcieli czynić to w kolej i inni... to zadziwiło Węgierki.

— **Stuletni jubileusz** pierwszej, drukiem ogłoszonej poezji Burnsa, przypada w przyszłym roku. Szkocya będzie obchodzić uroczyste wspomnienie drogiego jej pieśniarza. Że był prawdziwym poetą, dowodzi to, że do dziś dnia nie przestarzał się i nie stracił uroku.

— **Sąd konkursu**, ustanowionego przy paryżkiej Akademii Umiejętności przez króla Szwedzkiego, ma się składać: z jednego Szwajcara, jednego Niemca, jednego Francuza. Tym ostatnim jest uczonego członka akademii, Hermite. On ma przyznać innym.

— **Oratorium dziecinne**, napisane przez belgijskiego kompozytora, Piotra Bénéit, wyłącznie na głosy dziecinne, zostało odśpiewane w Bruxelli z wielkiem powodzeniem. Przedmiot jest wzięty z historii flamandzkiej.

— **Nowy teatr**, zbudowany w Neapolu z wielkim przepychem w dzielnicy Vomero nosi nazwę „Salvator Rosa.“

— **Międzynarodowy kongres wolnomyślicieli**, odbyty w Antwerpii, powziął następującą rezolucją „Odpowiedzialność moralna nie istnieje, ale społeczeństwo ma prawo bronić się od zbrodniarzy i szaleńców.“ Miejscem następnego zebrań kongresu naznaczono Rzym.

— **Pomnik** mający stanąć w Orleanie ku uczczeniu pamięci biskupa Dupanloup, został wykonany przez francuskiego rzeźbiarza Chapu. Stanowi go podstawa brązowa mająca po jednej stronie wypukłość, przedstawiającą biskupa wśród młodzieńców, którą naucza, z drugiej są dwie postacie: kapłana ze wzniesionymi do góry rękami, i rycerza z dobytem mieczem, co ma przedstawiać alegorycznie patriotyzm. Powyżej sarkofag z leżącą na nim postacią męską, w górze anioł rozwijający sztandar Dziewicy Orleańskiej.

— **Kollegium heraldyczne** zostało zaprowadzone w Ameryce. Pierwsze jego zebranie miało miejsce w Portland, w Stanie Maine, w dniu 29 Lipca bieżącego roku. Radzono nad ustanowieniem herbów dla republikanów Amerykańskich! Donosi o tem dziennik, będący organem kawalerów amerykańskiego orderu „Aryan Order.“

— **Magnatka Amerykańska**, Jerzowa Pullmann, jadąc koleją zabiera zwykle na swój użytek cały pociąg. Tego roku w lecie, udając się z dziećmi z Chicago, gdzie mieszka, i gdzie jej mąż ma jakąś olbrzymią fabrykę, do wód Long Branche, wiozła ze sobą ośmnaście osób służby. Wagon, który był jej buduaem, zamienił się w ogród kwitnących roślin i krzewów, wśród tego posągi, zwierciadła, pyszne siedzenia i stoliczki z dziennikami i wspaniałe oprawy albumami. „The Nursery“ pokój dziecinny, był wybitny pikowanym atlasem niebieskim; w nim kołyska najmłodszej dziewczynki, składająca się ze srebrnych biegunów, srebrnej siatki i niebieskiego atlasu. Dwa ogromne z takiego atlasu wachlarze, artystycznie malowane w kwiaty i motyle, były bezustannie poruszane dla chłodzenia powietrza przez dwie, szczególnie ładne dziewczynki murzyńskie, w białych muslinach z amarantowemi szarfami. Piastunka, była to dystyngowana pani z siwemi już włosami. Jeden wagon zajmowały konie, drugi ekwipaże Mrs Pullman i jej dzieci. Jest ona widać kochającą matką.

— **Dowcip kobiecy**, jestto tytuł książki, mającej się wkrótce ukazać w Anglii. Napisana przez kobietę, Katty Sanborn, zawierać będzie zbiór wszystkich dowcipnych i satyrycznych wyrażań kobiecych, wszystkich krajów i wieków. *The Wit of Women*, wyjdzie w bardzo kosztownem wydaniu.

— **Następczyni tronu Austrii** utrwała sobie wrażenia odległych swych podróży, z mężem odbywanych, szkicując zaraz na miejscu ołówkiem, a potem malując wodnemi farbami widoki i ludzi, których fizygnomie ją uderzyły. Ma cały jeden album z pobytu swego w Dalmacji: kilkanaście krajobrazów morskich i górskich, akwareli i wykonanych ołówkiem. Maluje prztem kwiaty i z tych także tworzy sobie zbiór — florę wszyst-

kich zwiedzanych stron świata. Z pewnością panją nie doznaje udreczeń nudy.

— **Szlachetne ły** popłynęły niedawno na nauczycielskiej mównicy francuskiej. Zapłakał niemi Pasteur, przydując przy rozdawaniu w Sorbonie nagród rocznych uczniom stowarzyszenia: *Związek młodzieży francuskiej*, który jest połączeniem się ludzi dobrej woli dla nauczania młodzieży potrzebującej światła, przez młodzież, która je posiada. Zawiązało się ono w Paryżu, zaraz po zakończeniu nieszczęśliwej wojny, po zawarciu upakarzającego dla Francji pokoju. Pasteur dziękował też w imieniu kraju szlachetnym młodzieńcom-nauczycielom za trudy, które podjęli „pojmując jaką wagę ma nauka w zapasach narodów.“ Przemawiając do młodzieży, wykładającej chemią stosowaną dla użytku garbarzy, farbiarzy i białoskórników, nazwał ich kolegami i przyznał się do skrytej dla nich sympatii, nie z tego względu, że jest synem garbarza. Ten jego ojciec był prostym i bardzo mało umięjącym rzemieślnikiem, ale posiadał zamiłowanie nauki i szacunek dla niej, uczył też syna czego mógł, i oile mógł, i on był jego mistrzem pierwszym — troskliwym, cnotę i miłość Francji szczepiającym w niego mistrzem dobrym... Tu Pasteur zalał się łzami i nie mógł przez chwilę jakąś opanować wzruszenia, które ogarnęło i serca słuchaczy. Gdy skończył mowę i zszedł z katedry, wszystka młodzież cisnęła się do niego, aby móż dotknąć jego ręki. Ten syn „bardzo mało umięjącego garbarza“, ale uczciwego i dobrego obywatela, dziś człowiek sławny na świat, członek Akademii Umiejętności, Akademii Francuskiej, płaczący na wspomnienie tego ojca!...

— **Ouida** napisała i drukowała w Londyńskim Timesie, charakterystyczny tren nad upadkiem gondoli i gondoliera w Wenecyi.

— **Język galicki** dobija się znów swego znaczenia i niemal już pogrzebany, wydobywa się na słońce. Oprócz żony wice-króla irlandzkiego, lady Carnarvon, która się uczy bardzo gorliwie tego języka, naukę tę podziela z nią również i inna wysokiego stanowiska Angielka, w Irlandyi zamieszkała, lady Winifryda Herbert. Nauczyciel bywa regularnie co drugi dzień w pałacu wice-króla, gdzie obie te panie razem pobierają lekcye. Piszą też dzienniki, że trzecia wielka dama angielska, lady Statford, uczy się również po irlandzku i to tak, aby mogła mówić. Królowa angielska kazała dzieło swoje przetłumaczyć na język galicki i sto ich egzemplarzy posłała w prezencie do Szkocyi.

— **Sułtan Turecki** skomponował marsza dla swojej wojskowej muzyki i ofiarował go najmilszej mu żonie, córce zmarłego Abdul Aziza.

— **Dożywni Sekretarz Akademii Francuskiej**, Doucet, wykończył i oddał do druku swoje pamiętniki. Od kilku lat mówiono w Paryżu o tej książce, której wyjście na widok publiczny wciąż zostawało odkładanem, a która ma podobno rzucić wiele światła na różnych pisarzy francuskich. Podobno najciekawsze szczegóły odnoszą się do kilku żyjących jeszcze pisarzy dramatycznych.

Do dzisiejszego numeru *Blusozu* dołącza się arkusz 1t-ty powieści pod tytułem: **Kora**, przez Mrs Forrester.

**TREŚĆ.** Marya Bartusówna, (Wspomnienie). — Pogawędka. — Fryc i Frycek, nowella, (dalszy ciąg), przez Michała Wołowskiego. — Notatki pedagogiczne. — Z życia artysty, (dokończenie), przez M. Ilnicką. — Z dzieła przyrody, przez W. Niewiadomskiego. — Drobnie listki.

**Dodatek** obejmuje: Arkusz 11-ty powieści pod tytułem: **Kora**, przez Mrs Forrester. — Przegląd mód. — 28 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.



## DODATEK DO BLUSZCZU,

N<sup>r</sup> 42.

Wzory ubiorów i robót

z najlepszego pisma paryzkiego

MODE ILLUSTRÉE (Bazar)

jednocześnie i li tylko w Bluszczu ze wszystkich pism polskich są podawane.

## PRZEGLĄD MÓD.

Potrzeby pory roku. — Fason kapeluszy. — Skład nowości pana Makowskiego (Plac Teatralny). — Astrachan, okrycia i futra. — Ołóżenie z piór u pana Stifsona. — Prześliczne a zupełne nowości u pana Makowskiego na suknie zimowe.

Kapeluszy zimowych jeszcze nie ma w całym komplecie rozmaitych fasonów, co pozwala na wybór wedle gustu i potrzeb osób noszących, ale z tego co już widzieć można, nie zdaje się, aby zima tegoroczna, przyniosła jakieś stanowcze zmiany, w okryciach głowy zimowych. Ograniczać się one będą zapewne do pewnych modyfikacji jedynie. Ważniejszą rzeczą są suknie; zima zawsze w tej części naszej tualety, więcej zachodu sprowadza już z tej przyczyny, że

ze zmianą pory roku, zmienia się i układ naszego życia. Przyjęcia towarzyskie już się rozpoczynają, po ostatecznym powrocie z letnich wycieczek i urzędzeniu się w mieście na zimę. Zatem należy nam zajrzeć znowu do sklepów z towarami, które nas w tej porze roku najwięcej zajmować mogą.

Zacniemy od grubych, pysznych astrachanów, w sklepie pana Makowskiego; materiał to naśladowający w zupełności krymskie baranki. — biały, to jest: koloru kremowego, bo czysto biały dziś widzi się tylko w bielźnie, używany jest na paltociki dzieciinne, lub na rotundy, czy też dołmany (sortie-de-bal) balowe; czarny, używany na całe okrycia jesienne, przeważnie krótkie, bo wciąż bardzo się noszą krótkie dołmany i kaftany obok dłuższych paltotów; stosuje się to zarówno do okryć, jak i do futer — długie jednak okrycia okładają się szeroko astrachanem, z tyłu rozcięta fałda obłożona również astrachanem, jak mankiety i kołnierze stojący lub wykładany, w połączeniu z dużą kłapą idącą od kołnierza aż do pasa, gdzie się wązkim klinem kończy. Grube okrycia jesienne, lub lżejsze futra, okładają się jednakowo, z tą jednak różnicą, że pierwsze można i na dole, drugie futrem, po większej części tylko kłapa kołnierza, mankiety i mufka — zostawia się to jednak do woli obłożyć i w dole. Lekkie futra okładają się także piórami naśladowującymi zupełnie bobry lub sobole, zupełnie nowe w tym rodzaju rzeczy, widzieliśmy u pana Stifsona (Wierzbowa, dom hr. Krasieńskiego) — pióra takie są w prawdzie drogie, ale że są robione, czyli naszyte z samych strusich piór, więc są trwałe nie boją się deszczu, śniegu, słowem wilgoci — sprzedają się na szerokość cali, a na długość łokci — na przybranie futra i mufkę kosztować może około 12 rubli, ale będzie śliczne i mieć będzie pozór prawdziwego futra.

Na strojne okrycia i na futra drogie przywiózł pan Makowski przesliczną wełnę w deseniu fryzowany „laine frisé“ — adamaszkowy ten deseniu fryzowany, ma zupełnie pozór jedwabiu. Drugim takim wyrobem jest na aksamicie deseniu „frisé“, ale to już bardzo drogie. Jest także materiał czarny w szerokie 3 cent. pasy, niby astrachan; zwany „bouclé“, pasy superkowe — materiał lżejszy, równie dobrze na okrycia, futra, jak i spódnice do sukien użyć się dający. Na suknie widzieliśmy rozliczne od-



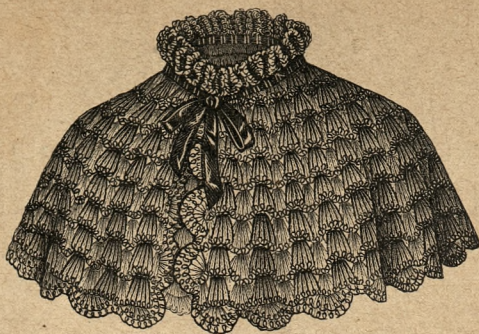
Nr 1. Kapelusz pluszowy.

Nr 3. Kapelusz aksamitny. (Do ryc. 4 w Blu. Nr 43).

Nr 2. Kapelusz filcowy. (Do ryc. 5 w Bl. Nr 43).



Nr 4 Sztora krzyżowa robota.  
(Do ryc. 5 i 6 oraz ryc. 1 i 2 w Bl. Nr 43).



Nr 9. Pelerynka robota szydełkowa.

### Kapelusz pluszowy.

Rycina Nr 1.

Rondko tego kapelusza odwinęte, 2½ cent. szerokie, pokryte gładko brązowym pluszem, główka fałdowana z pluszu na sztywnym muślinie, połączona dwoma paskami z muślinu oszytymi drutem. Połączenie główki z rondkiem przykrywa gładko jasnobronzowa, 9¼ cent. szeroka wstążka, odwinęta na wierzch na 3 cent. Przybranie stanowi z tyłu rozeta i dwa dłuższe pukle ze wstążki, z przodu zaś egretka z piór strusich, pomponików i wysokiej kitki.

### Kapelusz filcowy.

Rycina Nr 2, oraz ryc. 5 w Blu. Nr 43.



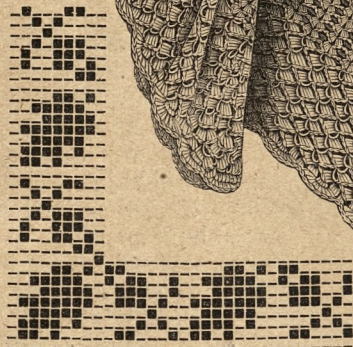
Nr 7. Serwetka podłużna na tacy ściegiem gałązkowym płaskim, supełkowym, pocztowym i w rybią łuszczkę. (Do ryc. 8). Opis i wzór odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 50.

miany, jedne od drugich ładniejsze, a wszystko zupełnie nieznanymi mi nowościami. W ogóle tłem sukien wełnianych, jest dyagonal — materiał prążkowany i na tem tle mnóstwo odcieni, w których zawsze zielono-oliwkowy przeważa, przedstawia się mnóstwo odmian. Na przykład tło gładkie — szlak szeroki na 15 centim. „bouclé” supełkowy, naturalnie takiż szlak węższy na przybranie stanika i rękawów; pasy „bouclé” 5 cent. szerokie naprzemian z gładkiem „diagonal”, rzucik różno-kolorowy supełkowy, kratka i t. p. Dalej były suknie z gładkiej wełny, nieco grubszej, z od razu wrabianą wełnianą frendzlą, zwane: „robe à frange” — frendzla taka siatkową robota, 10 centim. szeroką, zakończyła tiunikę lub vetement, baskinę u stanika krótkiego i pelerynkę małą hiszpańską, odrębny zastosowany do frendzli fason. Przy sukniach ze szlakiem odpasowanym „bouclé”, stanik robi się na bok zapinany, jak po większej części wszystkie teraz — szlak więc otacza dół stanika i ciągnie się jak kłapa od ramienia do boku, obok guzików, na szerokość 6 centim., lub też tworzy mały kaftanik zwany „zuawką”. Pasy są jednym z ostatnich wzorów w materiałach, otóż najkosztowniejsze i najnowsze suknie są w pasy sznelowe — tło „olive-diagonal”, w odstępach 5 cent. pas także 5 cent. złożony z 6 wąskich sznelowych pasków w kolorach martwych: pasowym, szafirowym, oliwkowym lub zielonym; pasy te są oprócz tego, przerabiane jedwabną nitką, tworząc szkocką kratkę. Brak miejsca zniewala nas zostawić sposób układania takich sukien do przyszłego przeglądu, w którym wrócimy jeszcze do mnóstwa nowości, w jakie dziś tylko skład pana Makowskiego jest zaopatrzony.

L. C.

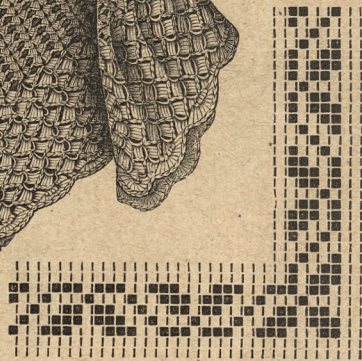


Jasno-brązowy okrąg.



Objaśnienie znaków: ■ pasowy jedwab, ' tło. Nr 5. Wzór do r. 4.

Nr 10. Chusteczka robota szydeł.



Objaśnienie znaków: ■ pasowy jedwab, ' tło. Nr 6. Wzór do r. 4.

gły kapelusz, z gładkiego jedwabnego filcu, z wysoką, trochę śpiczastą główką i rondkiem z przodu i z tyłu spuszczone, a z lewej strony odwinęte wysoko. Główka opasana 6½ cent. szeroką taśmą piaskowego koloru w deseń i trzema aksamitnymi pliskami, rondko gładko podszyte aksamitem i objęte takąż wstążeczką; przybranie stanowią trzy, jasno-brązowe, prawie żółtawe strusie pióra i fantazyjna kokarda z brązowej w dwóch cieniach wstążki, 10 cent. szerokiej.

### Kapelusz aksamitny.

Rycina Nr 3 oraz r. 4 Blu. Nr w 43.

Główka i tylne rondko pokryte gładko, a przód rondka wysoko i śpiczasto podniesiony nad czołem, ufałdowany aksamitem koloru palonej cegły. Pokrycie główki zaszyte okrągłymi perełkami, na pokrycie zaś rondka trzeba ukrajać trójkątny kawałek aksamitu, naszyć go perełkami, tylko w większych odstępach jak główkę, uciąć trochę rodów, ułożyć skośną stronę, przykładając ją do główki kapelusza, w kilka zwróconych ku sobie fałdek, przymocować aksamit do brzegu rondka tak, aby formowała wysoką bufkę; na bokach zmarszczyć, podwinąć do środka i przymocować. Przyszyć fałdów z przodu przykrywa kokarda z morowej wstążki, 6½ cent. szerokiej, złożonej przez pół szerokości, tudzież egretka ze strusich i czaplich piórek, oraz wysokiej kitki z cienkich drucików nawleczonych perełkami.

### Sztora krzyżowa robota.

Rycina Nr 4—6.

Sztora, zrobiona z kremowego siatkowego tiulu i ozdo-



Nr 8. Część haftu do ryc. 7. Wielkość naturalna. Dalszy ciąg wzoru odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 54.

biona trzema szlakami, haftowanymi w równych odstępach, rozpołowioną filozelą, ścięciem krzyżowym, na jednej parze nitki. Rycina 1 i 2 w Bluszczu Nr 43, podaje wzór haftu szerokich szlaków, a rycina 5 i 6 rogi szlaczek obejmujących szerokie pasy; przytem szlaczek ryc. 6 haftuje się w odstępach trzech ścięgów od szerokiego, a szlaczek ryciny 5 w odstępach pięciu ścięgów od pierwszego. U dołu sztora zakończona szerokim obrębem i kremową nicianą koronką.

### Szlak z perełek.

Rycina Nr 13.

Szlak stosowny do kapeluszy, kołnierzyków i rękawów u sukien, zrobiony z perełek i blaszek koloru ołowiu (plomb), który jest obecnie jednym z najmodniejszych; każda z blaszek ma trzy dziurki, a szlak robi się podług wzoru w poprzek i podszywa się, po skończeniu, aksamitną wstążką. Na zrobienie go trzeba wziąć na igłę 1 perełkę, przeciągnąć igłę przez jedną z dziurek blaszki, \* wziąć 7 perełek, przeciągnąć przez dziurkę nowej blaszki, wziąć 5 perełek, przeciągnąć igłę powracając, przez drugą dziurkę ostatniej blaszki, wziąć 3 perełki, przeciągnąć igłę przez środkową z 7 perełek, wziąć 3 perełki, przeciągnąć igłę przez wolną jeszcze dziurkę pierwszej blaszki, wziąć 4 perełki, przeciągnąć igłę przez perełkę, przed pierwszą dziurką tej-

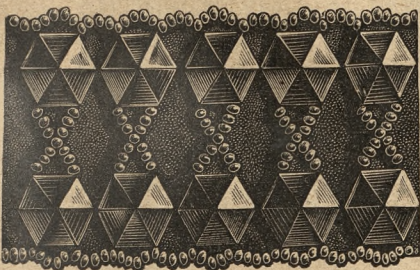


### Szlak do przybrania żałobnych kapeluszy.

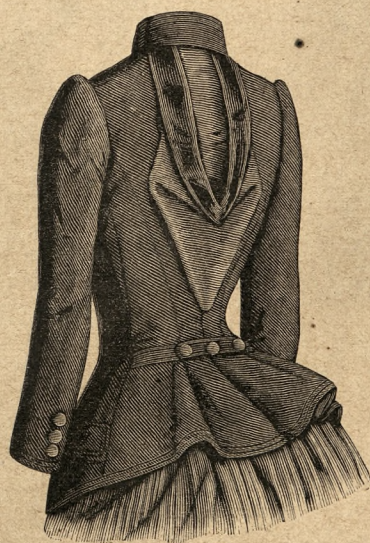
Rycina Nr 14.

Szlak zrobiony z matowych czarnych perełek i blaszek, sposobem następującym: 1 rząd: wziąć na igłę 1 perełkę, potem ciągle naprzemian: 1 blaszkę i 9 perełek, na końcu 1 blaszkę i 1 perełkę. 2 rząd: przymocować nitkę od pierwszej perełki, potem ciągle naprzemian: przeciągnąć nitkę przez najbliższą blaszkę poprzedniego rzędu i wziąć 11 perełek. 3 rząd: wziąć 1 perełkę, \* przeciągnąć igłę przez nową blaszkę, wziąć 5 perełek, przeciągnąć igłę przez środkową z 11 perełek poprzedniego rzędu, wziąć 5 perełek, od \* powtarzać. 4 i 5 rząd, jak 2 i 3. 6 rząd jak 1. Małe łuki po obu

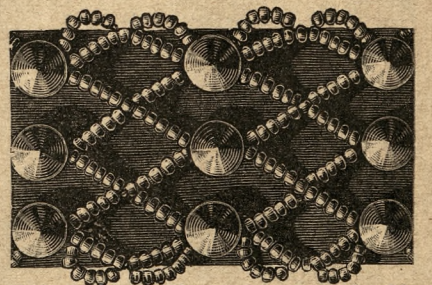
Plecy. Nr 11 i 12. Suknia z wigoniu. Przód. Opis odwr. str. tab.



Nr 13 Szlak z perełek i złotowych blaszek.



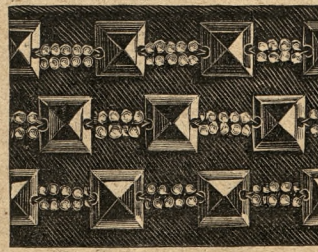
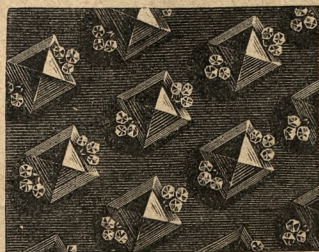
Przód. Nr 15 i 16. Paltocik z grubej syberyjny. Plecy. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr 1, fig. 1-10.



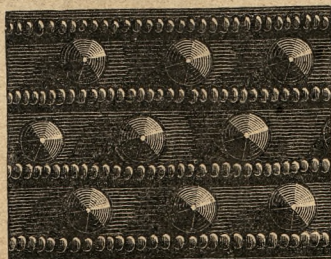
Nr 14. Szlak do żałobnych kapeluszy i sukien.



Nr 20 i 21. Suknia z ciężkiej etaminy. Opis odwr. str. tabl.



Nr 17 i 18. Zahaftowanie materiału na kapelusze.



Nr 19. Zahaftowanie materiału na kapelusze.



Nr 22 i 23. Suknia dla młodej osoby. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr III, fig. 20-27.

podłużnych stronach szlaku. robią się jak następuje: \* przeciągnąć nitkę przez najbliższą blaszkę, wziąć 6 perełek. przeciągnąć przez środkową z 9 perełek, wziąć 6 perełek, od \* powtarzać.

### Zahaftowanie pokrycia kapeluszy.

Rycina Nr 17 — 19.

Ryciny 17 do 19 przedstawiają trzy wzory na haft perełkami, stosowny do pokrycia kapeluszy.

Rycina 17 przedstawia na czarnym aksamicie czworograniaste dzety, zakończone na rogach 3 perełkami.

Rycina 18 przedstawia na tle ciemno-oliwkowego aksamitu, rzędy czworograniastych dzetów, połączonych podwójnymi sznureczkami, jasno-oliwkowych stalowych perełek.

Rycina 19 przedstawia szlaczek stosowny do przybrania żałobnych sukien i kapeluszy, haftuje się bowiem czarnymi



Nr 24. Suknia z dyagonalu. Plecy. (Do r. 13 w B. Nr 25. Suknia z kaszmiru. Nr 43). Krój i opis pier. str. tabl. Nr II, fig. 11—19. Opis odwr. str. tabl.



Nr 26. Paltocik z astrachanu i repsu „ottoman“. Opis odwr. str. tabl.

matowymi perełkami i blaszkami; podłużne sznurki perełek, przymocowane niewidocznie poprzecznymi ściągami, a pomiędzy nimi naszyte w równych odstępach okrągłe czarne blaszki.

### Przepisy gospodarskie.

#### Galareta z jabłek.

Nie ma trudniejszej rzeczy, w dziale przetworów owocowych, jak dobra galareta i dla tego też tak rzadko się z nią spotkać można. Niedośmierzony są rzadkie i ładne, przesmarzone ciągnące się i cierpko słodkie. Najważniejszą rzeczą jest, nie brać za dużo cukru; wiemy, że jabłka i tak mają w sobie dużo galaretowych części, bo sos od kompotu z jabłek często galarecieje. Wziąć kwaśnych jabłek, pokrajać w kawałki, odrzucając jądra,



Nr 28. Suknia z koronki i aksamitu. Opis odwr. str. tabl.

które jak wszystkie pestki mają gorycz w sobie; nalać wodą źródlaną, aby tylko jabłka pokryła i gotować na wolnym ogniu, póki się nie rozgotują, wtedy przelać w worek, aby sok ściekał przez

całą noc, nie nie wyciskając; na drugi dzień, na kwartę tego soku wziąć jeden, wyraźnie jeden funt cukru w kawałkach, nalać go sokiem, postawić na wolnym ogniu, gdy się cukier rozpuści, na większym — szumować, a gdy się klaruje i nabiera czerwonego koloru, wtedy ma dosyc; — dla próby jednak wylać kroplę jedną na nóż, jeżeli zostanie kropla, galareta ma dosyc, jeżeli się rozleje płasko, jeszcze trzeba gotować. Kto chce dla zapachu, może wrzucić kawałek wanilii w czasie smażenia. Z papierówek galareta będzie blado-żółtawa, z renet żółtawo-żółtawa; z innych jabłek czerwona. Gorącą lać w słoiczki szklane, zwane „lampkami“. Galarety takie są bardzo pożywne dla rekonwalescentów.

L. C.



Nr 27. Paltocik z dyagonalu. Opis odwr. str. tabl.

### Obiad na Niedzielę.

1. Rosół z jarzynkami i makaronem w gwiazdki.
2. Sztukamięsa z sosem pomidorowym.
3. Gruszki z saskimi kluskami.
4. Zając z kompotem z jabłek.
5. Galareta malinowa.

U W A G A.

Opis ryciny 9 i 10 podamy w przyszłym numerze, reszta jest zamieszczona na tablicy krojów, dołączonej do dzisiejszego numeru.